

INDEKS NAZWISK

strona

Bukowiński ksiądz kat., po wyjściu z obozu Kazachstan przyjął obywat. radz. aby duszpasterzować tam	57
Józef Furmaniak brat Marii, AK, stracony po więzieniu w Brześciu przez gestapo w 1943 roku.	10
Tadeusz Furmaniak brat Marii, jw.	10
Horodeński Józef ksiądz kat. aresztowany w Brześciu w 48 roku	25
Ignatowicz Witold kolega Marii, więzień Workuta, zginął tam	62
Lubecki Franciszek b. burmistrz w Białej Podlaskiej	64
Odyński Jarek więzień Workuta, uciekł, stracony	63
Odyńska Tala koleżanka Marii w Brześciu	26
Presner Jurek więzień Workuta, nieudana ucieczka z Odyńskim, stracony	63
Piątkowski Wacław ksiądz kat. z Brześcia, obóz w Kazachstanie na zsyłce w duszpasterz w Karagandzie	57
Rosiak Jerzy ksiądz kat. w Brześciu, w 47 roku wywieziony po porwaniu do Marylska	17
Rosporska Helena siostra Marii, starała się o jej powrót	58
Jan Szczot osiedlenie w Karagandzie	56
Teleman Zofia więźniarka, w Kirowsku zachorowała w 49 roku	32
Wiśniowski Tadeusz przyjaciel braci Marii, więziony przez NKWD	10

Maria Żurek (Furmaniak)

Streszczenie

Urodzona w 1930 roku w Brześciu w licznej rodzinie katolickiej. Działania wojenne i kolejne okupacje po 17 września przeżywa wraz z rodziną w Brześciu i, okresowo, w podbrzeskich wsiach. Rodzice i bracia należeli do AK. W 1943 roku dwaj bracia (starszy z nich już przedtem więziony przez bolszewików), prawdopodobnie za udział w akcji na więzienie w Pińsku zostali aresztowani przez gestapo, a następnie po paru miesiącach straceni. Rodzina zostaje w Brześciu po wkroczeniu Rosjan w 44 roku i w biedzie przeżywa coraz to cięższe represje wobec nieprawomyślnych Polaków: likwidację polskich szkół, zamykanie kościołów, aresztowania księży, wywózki. Maria uczy się w rosyjskim technikum muzycznym. Jakiś oficer (pod szyldem AK) organizuje sporą grupę młodzieży polskiej w grupę konspiracyjną. W 1948 roku w lipcu następuje, po wsypie, aresztowanie przez NKWD całej grupy, śledztwo i proces. Wyroki: 25 lat lagru. Wśród skazanych na 25 lat ~~ja~~ jest Maria. W grudniu 48 wywieziona do Workuty, gdzie przebywa w obozie reżimowym na robotach ogólnych do roku 1950. Choruje m.in. na gruźlicę. Przewieziona etapem do Abizu, przebywa tam w brygadach dla inwalidów do 1953 roku. W 1954 etapem z północy przewieziona do Kazachstanu (~~Inta~~), gdzie w roku 1955 następuje rewizja procesu (wyrok zmniejszony do lat 10 i warunkowe zwolnienie z reszty kary). Nie otrzymuje początkowo zezwolenia na opuszczenie ZSRR, na miejsce zesłania bezterminowego wybiera pobliską Karagandę. W 1956 roku, na skutek starań siostry, która mieszka już w Polsce, dostaje wreszcie papiery zezwalające na wyjazd do Polski. Po drodze do Polski wstępuje do Brześcia, namawia też rodziców do opuszczenia ZSRR. W lecie 56 przekracza granicę. Pracuje w Białej Podlaskiej, kończy szkołę wieczorową. Od 1982 przechodzi na emeryturę z inwalidztwa.

*nagrat Wiesław Krasnodębski
maj 1989 r*

Maria Zurek (Furmaniak)

Nazywam się Maria Zurek, panięskie nazwisko Furmaniak. Teraz powiem kilka słów o swoich rodzicach. Rodzice urodzeni byli w Rosji. Tatusz urodził się w Czehryniu, mama w Elizawietgradzie. Rodzina tatusia była wielodzietna. W głąb Rosji rzuciła ich chyba wędrówka za chlebem. Gniazdo ich rodzinne to był chyba Biłgoraj. Rodzice byli z rodzin rzemieślniczych i ich rodzice wyemigrowali po prostu, szukając miejsca, gdzie by mogli ten zawód uprawiać. Tatusz został "okrągłym" sierotą w wieku 12 lat. Już byli bez ojca i matki. Najstarszy brat był opikunem i nigdy nie musiał ani w wojsku służyć, ani odbywać innych czynności nakazanych przez państwo. Tatusia zabrała do Kijowa jego ciocia, tam się wychowywał, pracował potem jako ekspedient w ich sklepie. Jako z kolei młodszy, musiał brać udział w 1 wojnie światowej. Był zmobilizowany, bo się urodził w 1890r. Była cała tragedia w udziale taty w tej wojnie. Bo jak wiadomo, ci co stali po tamtej stronie, to też byli Polacy ze wszystkich tych zaborów. Nie chcąc zabijać swoich, tatusz poszedł do niewoli, w której u Niemców przebył 3 lata. Kilka razy uciekał, ale zawsze był chwytyany i z powrotem zabierany do obozu. Później wybuchła rewolucja, którą też musiał tam przeżyć. Wiadomo, jakie były wtedy losy ludzi. Dowód strasznych przeżyć w czasie rewolucji: moja ciocia w czasie jednej nocy osiwiła. Miała coś ponad 20 lat. Przez całe życie pamiętam ją z mlecznobiałymi włosami. Mamusia pochodziła też z licznej rodziny - tam się poznali, w Elizawetgradzie. Pobrali się i w 1920 r. urodziła się pierwsza moja siostra, Helenka, z którą rodzice uciekali w 20 roku, jak miała pół roku. Zostawili w Rosji cały swój dorobek i przekroczyli zieloną granicę do Polski. Były działania wojenne, ciągle front się cofał, bolszewicy doszli przecież do Warszawy, a potem znów się cofali - nasi szli - jednym słowem, cały czas działania wojenne. Rodzice osiedlili się tuż przy granicy, bo nie mieli nikogo, dokąd by mogli pojechać. To były miejscowości

Stołbce, Stołowicze i Baranowicze. Tam się urodzili bracia: Józek w 1923r. i Tadzik w 1925. Dalsze miejsce pobytu to już Brześć nad Bugiem, gdzie w 27 roku urodziła się siostra Janka i w 30 ja, jako najmłodsza w rodzinie. Dzieciństwo było szczęśliwe do wybuchu wojny. Do 1939 roku. Rodzice byli bardzo religijni, zgodni. Wychowywano nas bardzo patriotycznie. Cała rodzina była śpiewająca. Bracia byli ministrantami, rodzice i siostra śpiewali w chórze kościelnym, brali udział, ~~jak żywy różaniec~~ w bractwach kościelnych, jak Żywy Różaniec, Straż honorowa. Siostra najstarsza należała do organizacji Przysposobienie Wojskowe Kobiet, gdzie jako studentka była szkolona. Mama przechodziła przeszkolenie sanitarne w 1939, kiedy już było bardzo głośno o tym, że może być wojna, tym bardziej że już w marcu, w czasie pierwszej mobilizacji tatuś został zmobilizowany i był już w twierdzy brzeskiej. Aż do wybuchu wojny. Ja jako dziewięciolatek byłam łącznikiem między miastem a twierdzą. Bo było bardzo dużo mężczyzn, którzy pochodzili z Brześcia czy z okolic i zawsze prosili, żeby coś zanieść, czy zawiadomić rodzinę o pewnych sprawach. W 1939 r. , w związku z tym, że tatuś był zmobilizowany, przysługiwał nam wyjazd na kolonie wojskowe, ale z jakichś tam przyczyn nie udało nam się na nie wyjechać, znaczy mnie i siostrze. Wtedy za własne oszczędności szkolne wyjechałyśmy na kolonie do Tomaszówki. Muszę stwierdzić, że stosunek ludności okolicznej do dzieci przebywających na koloniach, był wrogi. Tomaszówka leży tu gdzieś na Białostoczczyźnie, koło Białowięży chyba. Było tam już bardzo dużo komunistów, którzy raczej czekali na swoich. Ludność była mieszana, ale większość chyba Białorusinów. Pamiętam, że na koloniach były przypadki w czasie ognisk, że wrzucano naboje do ognisk. Ostatnie tygodnie to już byliśmy otoczeni kordonem policji, dookoła. A następnym dowodem tego złego stosunku było rokręcenie torów przed pociągiem wiozącym nas już do Brześcia. Z kolonii. Z tym że to w porę spostrzeżono, zatrzymano pociąg i przyjechaliśmy do Brześcia z opóźnieniem dużym, co spowodowało jakąś panikę wśród rodziców, którzy czekali na dzieci. Ale dojechaliśmy szczęśliwie.

I już za kilka dni wybuchła wojna. I były bombardowania. Bombardowa-
no miasto, lotnisko, Brześć był wielkim węzłem kolejowym, więc rów-
nież dworzec. W tym czasie pewnej nocy przyleciał do domu tatuś z
twierdzy, prosząc, byśmy uciekli po prostu z miasta. I wyjechali do
znajomych do Wielkoryty. To było gdzieś tak ze 30 km. od miasta.
Więc manusia zabrała nas : pięcioro swoich dzieci, nianię i babcię
i również lokatorów, którzy chcieli z nami wyjechać z miasta. To by-
ła też rodzina dość liczna. Przez całą noc staraliśmy się wyjechać z
miasta. Były wielkie trudności ze względu na to, że były już ruchy w
wojsk a trzeba było nam przejechać tym mostem, który był koło twier-
dzy. Ale wreszcie udało nam się wyjechać. W nocy jechaliśmy, a w dzień
chowaliśmy się po lasach, dlatego że samoloty ostrzeliwały, nie ba-
cząc na to, że to była ludność cywilna, która uciekała z miasta.
Dzień przebyliśmy w tym lesie, a gdy zmierzchno, wyjechaliśmy wozem
w dalszą drogę. Jechaliśmy poboczem drogi, ale jezdnią jechało woj-
sko - już wycofywali się do Rumunii. Jechali bez oświetlenia. I trze-
ba było takiego przypadku, że uderzyli w nasz wóz. Koń się spłoszył
i rzucił się na środek jezdni. I ta moja średnia siostra, Janka,
dosłownie powiesiła się na lejcach i tym sposobem nas uratowała, po-
zostałych. W czasie tego uderzenia wóz został złamany w połowie, 2
osoby, tzn. nasza niania i tych naszych lokatorów babcia zostały ra-
ne śmiertelnie. Jedna zmarła w drodze do szpitala, a druga w szpi-
talu, następnego dnia. Oprócz tego matka miała połamane obie nogi,
a córka dostała takiego strasznego szoku, że trzeba było ją z mat-
ką razem też wysłać do szpitala. Mieliśmy trudności z zatrzymaniem
samochodów, żeby zabrały rannych ze sobą, ale wreszcie stanęliśmy
w poprzek jezdni i w ten sposób zatrzymaliśmy samochody, które sta-
nęły i zabrały tych rannych i odwiozły, I moja mama została z piąt-
ką swoich dzieci, z babcią i z trójką dzieci tych właśnie poszkodo-
wanych, sama jedna dosłownie w środku lasu. Wóz odciągnięto do leś-
niczówki, która była w pobliżu i dalej już szliśmy na piechotę.
Po drodze dopędziły nas tabory wojskowe, wzięły dzieci, a dorośli

szli. Karmili nas sucharami wojskowymi i tą kawą z cukrem w kostkach. Rankiem dobiliśmy do Wielkoryty i tam zamieszkaliśmy u znajomego dróżnika. I trzeba trafu, że uciekając z miasta przed tymi bombardowaniami, trafiliśmy również na działania wojenne. Nasze wojska wycofywały się przez rzekę i chcąc utrudnić Niemcom przejście przez tę rzekę - spalili most. Niemcy uważali to za sygnał, że tam jest wojsko. Ludzie z V kolumny rozpalali ogniska nieraz i dawali inne jakieś sygnały. I wtedy jak Polacy podpalili ten most, to dosłownie nie upłynęło 10 min. jak już był nalot straszny. Bombardowanie właśnie tej Wielkoryty. To było tak nieoczekiwane... w czasie obojdu, wyskoczyliśmy tylko z tego domu, ale pierwszą już ofiarą była żona tego dróżnika. Ofiarą śmiertelną. Pojraz pierwszy wtedy widziałam, jak lecą bomby. Chłopcy poszli z żołnierzami po prostu z ciekawości, jak zwykle : chłopców ciągnie do wojska. I całą tę bitwę przebyli nad tą rzeką. Na krzyżówce była bitwa z oddziałami niemieckimi, z czołgami i te wojska miały trupie czaszki. Jako odznakę. To było pierwsze zetknięcie się z Niemcami. Kilka czołgów tam zniszczono, tylko dwa czołgi wróciły z tej bitwy - wycofali się Niemcy. Byliśmy tam jeszcze przez pewien czas, ale trzeba było wracać do domu, do Brześcia. Jak wracaliśmy, to już zastaliśmy w mieście bolszewików, którzy 17 września przekroczyli granicę Polski. Niemcy wycofali się do Bugu, a Brześć pozostał już po stronie radzieckiej. Były urządzone triumfalne bramy, Żydzi się chwalili, że taraz będzie ich panowanie, że taraz będą ich kamienice, a nasze ulice. I tak było istotnie. Dom nam zabrano i wysiedlono do drewniaka, w którym po raz pierwszy widziałam taką wilgoć, że rosły grzyby dosłownie na ścianach. Po kilku miesiącach wrócił tatuś. W ubraniu cywilnym, bo były bardzo często przypadki mordowania żołnierzy powracających przez okoliczną ludność na Polesiu. I zaczęły się dla nas już bardzo ciężkie dni.

Zima z 39/ na 40 rok była straszna. Mrozy dochodziły do 40 stopni.

Wtedy wymarzęły wszystkie sady. Nocami całymi stało się w kolejce po chleb. Widok tych wojsk radzieckich był dla nas czymś niesamowitym. Pamiętam te wozy wojskowe na takich bardzo dużych kołach i te konie, na których można było policzyć wszystkie żebra. Czapki-budionnówki z takimi dziobami na wierzchu, te długie szynele - i te niewiasty Rosjanki, które były też w wojsku. Wyglądało to wszystko bardzo żałośnie. One w wojsku były chyba w jakichś funkcjach pomocniczych. Jak sobie dawaliśmy z początku radę - po prostu sprzedawało się to, co można było sprzedać, szczególnie ubrania. Bardzo chętnie kupowały to. I sama widziałam w pięknych nocnych koszulach przechadzające się te Rosjanki. One uważały to za suknie. I zaczęły się już deportacje. To znaczy wywożenie na Syberię. Z naszego domu wywieziono dwie rodziny. Wywożono wagonami towarowymi, przyjeżdżano w nocy, kazano w bardzo krótkim czasie wziąć cośkolwiek ze sobą - to, co można było wziąć w rękę. Ale wtedy uniknęliśmy wywiezienia. Najstarsza siostra i brat Józek zostali zatrudnieni na poczcie w Brześciu. Władze radzieckie kazały wracać wszystkim do tych miejsc pracy, które zajmowali kiedyś. Ale był taki zwyczaj, że przed pierwszym majem zamykano profilaktycznie do więzienia, szczególnie mężczyzn i młodych chłopców. I to spotkało mojego brata, który został z kilkoma mężczyznami i chłopcami zabrany do więzienia w Brześciu. I wyszedł z więzienia dopiero w 41 roku, kiedy Niemcy uderzyli na Związek Radziecki. Ze względu na to, że Brześć był miastem pogranicznym, nad samą granicą, już w przeddzień wybuchu wojny, cały czas przychodziły transporty z wymiany handlowej między Niemcami a Bolszewikami. Okazało się, że ostatni transport, który przekroczył granicę i stał na torach w Brześciu koło dworca - to już nie był z produktami żywnościowymi, ale załadowany wojskiem. I już rano, jak wybuchła wojna - jeśli sobie przypominam to była godzina druga czy trzecia w nocy, jak zaczął się ostrzał, początkowo myśleliśmy, że to burza, ale to niestety były już działania wojenne - to od razu otworzono te wagony i Niemcy zajęli

dworzec. W tym czasie więźniowie w więzieniu starali się wydostać. Więzienie w Brześciu było wybudowane w 37 czy też w 38 roku, jeśli sobie przypominam. To było bardzo nowoczesne więzienie, a jednocześnie bardzo mocne. Drzwi wybijano ławami, bo przecież nie było komu otworzyć chociażby jednej celi, żeby się potem mogli więźniowie jedni drugim pomagać wychodzić. Ława ta odskoczyła i złamała bratu rękę. Wydostali się z tej celi i uwalniali następne cele i już rano, gdzieś tak koło szóstej, przyszli więźniowie z bratem do nas, do tego drewnianego domku.

Jeśli chodzi o ucieczkę Sowieców, to była ona paniczna, dlatego że widziałam na własne oczy jednego z Rosjan, który w bieliźnie uciekał rowerem - bulwarem, który był naprzeciw naszego domu. I tam go zabił pocisk. I pochowany był właśnie na tym bulwarze. Była chwilowa przerwa w tym ostrzale, myśmy się z tym oswoili, bo to trwało jednak dość długo, i z siostrą, tą średnią, chciałyśmy wyjrzeć, zobaczyć, co się dzieje tutaj, na zewnątrz, od ulicy. I właśnie wtedy ten pocisk upadł, zabił tego Rosjanina, a siostrę ogłuszyło. I raniło w rękę. Jeszcze chciałam zaznaczyć, że nie mieliśmy miejsca, gdzie by można się było schować, nie było żadnych schronów, przecież się nikt tego jeszcze nie spodziewał. Więc mama, doświadczona po prostu życiowo, położyła nas, wszystkie dzieci, w ogródku, nakryła poduszkami i pierzyną. Ale musiała jeszcze po coś wrócić do domu i zobaczyła, że obraz Serca Pana Jezusa, który wisiał na ścianie i z którym zawsze uciekaliśmy, wędrując zawsze zabieraliśmy go ze sobą - że on się po prostu przekrzywił. Zdjęła go i wyniosła do ogrodu. Jak wróciliśmy po tym ostrzale już ~~szkianx~~ do domu, ściana ta od ulicy była dosłownie odłamkami posiekana. W miejscu, gdzie wisiał ten obraz była taka dziura, że moja dziecinną pięść wchodziła w tę dziurę. I odłamek ten był w pierzynie w kółku. Z tej pierzyny wyjęliśmy ten odłamek dopiero w 56 roku w Polsce, jak się przesypywało tę pierzynę. Jeszcze wracając do powrotu brata z tymi więźniami. Jakie było moje wrażenie? Oni wyglądali strasznie.

Po prostu kredowo-biali na twarzy. I pamiętam, że moja mama, która zawsze, mimo ciężkich warunków, starała się pomagać bardziej potrzebującym, dała im tylko po kawałku chleba i wody. Ja jeszcze wtedy nie wiedziałam o tym, że nie można ich było nakarmić do syta, bo były przypadki skrętu kiszek i śmierci. I tu chciałam powiedzieć, że ze względu na to, że brat był w więzieniu, wiadomo było, że nas wywiozą. Dosłownie w przeddzień jeden z transportów odszedł. A myśmy byli przygotowani. Wszystko to było przygotowane, co było można zabrać, żeby to nie zastało nas nie przygotowanych. I gdyby nie wybuch tej wojny, to byśmy już wtedy znaleźli się na olbrzymich przestrzeniach Z Radzieckiego.

Teraz nastąpiła już nowa okupacja. O ile sobie przypominam, a miałam 11 lat - Niemcy wkroczyli do miasta, a nie starali się zdobyć za wszelką cenę twierdzy. Tylko ruszyli dalej. Oni się posuwali, a twierdza, a twierdza tylko była otoczona. Zresztą, oni już byli tutaj, na tym terenie u nas wszędzie. Ci, co byli w twierdzy, nie mieli żadnych szans, absolutnie. Nie mogli uciec. Oni musieli się bronić bo nie mieli po prostu innego wyjścia. Pamiętam, że były bombardowania tej twierdzy chyba jeszcze może tydzień, może nawet do dwóch tygodni. Ale to były już tylko sporadyczne działania wojenne, one nie zaważyły na tym wszystkim, co się działo. To znaczy były początkowo naloty - bombardowano twierdzę - a potem wszystko ucichło. I nie słyszeliśmy o jakimś tam nadzwyczajnym bohaterstwie, w tej twierdzy. Ale przecież twierdza w tej chwili jest "miastem - bohaterem", jako taka. Rozleklamowane jest to wszystko, wszelkie ślady polskości są zniszczone i twierdza w ogóle nie przypomina już tej twierdzy, która była kiedyś. Widziałam ją w 73 roku. A ponieważ jako dziecko często bywałam w twierdzy u tatusia, to miałam skalę porównawczą. Co było i co jest. Zresztą nie tylko twierdza została przebudowana, zniszczone wszelkie te ślady - wszędzie są tylko te symbole: sierp i młot, gwiazdy. Nie ma nic, co by świadczyło, że to tam była Polska. To była

przecież bardzo stara twierdza. Z tego co tatuś potem opowiadał, dookoła były forty, sama twierdza stała w widłach obu rzek: przy ujściu Muchawca do Bugu. Tak że otoczona była przecież wodą i była... była piękna. Kiedyś... Było tam bardzo dużo podziemi, lochów i tatuś mi opowiadał, że przez trzy dni się w 39 roku bronili, a potem się właśnie tymi podziemnymi przejściami wydostali z twierdzy. Wtedy, jak już ich rozwiązano. Ale nikt o tej obronie z 39 roku nie powiedział, że to było bohaterstwo tych żołnierzy. Tylko 41 rok był bohaterski.

Wśród innych z bratem wyszedł z więzienia jego kolega, Tadeusz Wiśniowski. Jego matka z bratem zostali wywiezieni na Syberie, a ojciec był aresztowany i co się z nim stało, nie było już potem wiadome. Ten właśnie Tadzik, nie mając nikogo ze swoich już, mieszkał w barce na Muchawcu. Zbliżała się już jesień i były tam warunki jednak straszne dla człowieka po więzieniu. On był cały okryty wrzodami i brat zawiadomił o tym mamę. Ona poszła tam nad rzekę i zabrała tego Tadzika do nas, do domu. Wyleczyła go z tych wrzodów i Tadzik został z nami jako nasz przybrany brat. Nie pamiętam dobrze opowiadań brata o więzieniu sowieckim. Pamiętam tylko, jak oni strasznie wyglądali. Opowiadali, że jedną z tortur było ustawianie w wodzie i unieruchamianie ich w ten sposób, że woda, która kapła z góry, kapła cały czas w jedno i to samo miejsce. Najczęściej na głowę i to było bardzo męczące. Z tym że ja nie spotkałam tego w stosunku do siebie, tak że... Trudno mi powiedzieć jak było. No, znam te karcery tego więzienia w podziemiach, w których potem sama siedziałam. Na pewno wyglądało to strasznie. Miałam potem możliwość być w rękach bolszewików w więzieniu. W takim samym jak on był, brat. Tylko że moje doświadczenia zaczynają się od 1948 roku. Jak podrosłam trochę.

Mój starszy brat Józik i Tadek Wiśniowski w tym czasie pracowali w żegludze śródlądowej. Jako marynarze, dosłownie. Młodszy brat pracował w tartaku. Jako dziecko nie bardzo się jeszcze orientowałam w tych sprawach, wien tylko, że chłopcy wyjeżdżali na jakąś

akcję. Jak się okazało, była to akcja związana z odbiciem więźniów z więzienia pińskiego. To był 43 rok. W 41 i 42 to były łapanki, uliczne egzekucje, bo przecież była okupacja niemiecka. Brześć nie jest takim dużym miastem, ale Brześć to było przed wojną miasto wojewódzkie. To nie było małe miasto. Nie można porównać z Warszawa albo innymi dużymi miastami, ale przed wojną było wojewódzkie, więc musiało być duże, szczególnie jak na tereny wschodnie. To było miasto historyczne. Ta Unia Brzeska i te wszystkie inne sprawy. Było tam sporo wojska, no bo była twierdza.

Warunki życia były bardzo ciężkie w 41, 42 roku. Chleb był na kartki i nieraz był to taki chleb, że trudno go było nazwać chlebem, na kartki były również kości, bo mięsa się raczej nie dostawało. Pamięta^{am} tylko to, że jeżeli mama mnie, jako najmłodszej, dawała po kryjomu kawałeczek chleba z plasterkiem słoniny, to dawała to tak, żeby starsze dzieci tego nie widziały. Nie dlatego, że miałaby do mamy żal, ale żeby nie rozbudzać tego apetytu. Bo przecież rodzina była bardzo liczna. Nas było pięcioro dzieci, dwoje rodziców, to siedmioro, sierotka Marysia Książek, która była zabrana jeszcze w 40 roku, jak dzieci mieli wywieźć w ogóle do sierocińców rosyjskich. To przecież każdy zabierał - kto tylko mógł, zabierał te dzieci, rozbierali wśród rodzin i do nas ona trafiła. I właśnie Tadzik Wiśniowski. Tak że było nas już 9 osób do wyżywienia.

Jeśli chodzi o porównanie dwóch okupacji: sowieckiej i niemieckiej, to i tu były represje i tu były. Tu było wywożenie na Syberię, a tu na roboty do Niemiec. Z tym że oprócz tego były te uliczne egzekucje, których za sowietów jednak nie było. A Niemcy wieszali ludzi w środku miasta i nie można było nawet zdjąć tych trupów. One musiały wisieć z tablicami tutaj na piersi przewieszonymi, na których był rodzaj ich winy wypisany. Ale warunki materialne były bardzo ciężkie. Pamiętam, że mama nieraz jeździła gdzieś na wieś, sprzedawała jakieś rzeczy, jakieś ubrania, za żywność.

Ja się nieraz zastanawiałam i dziwiłam, jak ona nas mogła wyżywić! Np. w jaki sposób zdobywała chleb? Kupowało się zboże i mieliśmy taką maszynkę, może dwa razy większą od maszynki do mielenia mięsa. I w tej maszynie każdy musiał porcję tego zboża zemleć. To był po prostu taki młynek, z którego wychodziła dosyć guba - ale mąka! Ja nawet musiałam swoją porcję też wykręcić. A dla mnie to nie było lekkie. Ale u nas mimo tych ciężkich warunków materialnych było zawsze bardzo wesoło w domu. Wszyscy nam zazdrościli. Ale okazało się, że tylko do czasu. W 43 roku, po tej właśnie wyprawie do Pińska zaczęły się w Brześciu straszne aresztowania. To znaczy (o tym dowiedziałam się już później), że był konfident, który po prostu sypnął wszystkich. Chłopcy czekali na dokumenty - miano ich przerzucić za granicę, za Bug. Ale niestety nie doczekali się tego, zostali aresztowani w maju 43 roku. Pamiętam tylko, że starszy brat, Józek, z Tadzikiem Wiśniewskim, poszli do kościoła na majowe i już nie wrócili. Młodszy brat był na podwórku - bez marynarki, tylko w samej koszuli, zabrali go z podwórka, nie pozwolili nawet wziąć marynarki. I pamiętam to wrażenie tej rewizji. W mieszkaniu. I widok tego Niemca, który był chyba jakimś oficerem, dowodził tą całą grupą rewidujących mieszkanie. Utkwił mi tak strasznie w pamięci, że jeszcze teraz, jak przymknę oczy, to jego widzę. Chłopcy zostali uwięzieni i nosiliśmy im paczki do więzienia. Ze względu na to, że można było tylko jednemu jedną paczkę podawać, to chodziliśmy we troje. Siostra Janka, ja i mama. I tak samo było w czerwcu, kiedy poniosłyśmy paczki. Chciałam jeszcze zaznaczyć, że zwracano nam naczynia, w których się podawało. I nieraz znalazło się jakiś gryps, ale od starszego brata tylko. On był po prostu bardziej odporny, bardziej doświadczony, bo siedział w 41 roku. A ten młodszy brat, Tadzik, to jeszcze nie miał nawet 18 lat jak go aresztowali. I pamiętam, menażkę, którą zwrócono właśnie od Tadzika, tego młodszego brata, na której wydrapane było "ratunku!". Niestety, nie mieliśmy żadnych zasobów walutowych

czy złota, czy jakichś dolarów, żeby można było próbować wykupienia chłopców. I właśnie wtedy, w czerwcu, 22czerwca, przyszliśmy z paczkami do więzienia i przyjęto paczkę tylko ode mnie. Wpuszczono mnie do więzienia, do jednego pomieszczenia, w którym mogłam sosterawić tę paczkę dla tego młodszego brata. I pamiętam to wrażenie, jak zobaczyłam główny korytarz z tymi siatkami rozciągniętymi między poszczególными piętami. Nie przypuszczałam, że w tym więzieniu znajdę się 5 lat później. Dla starszego brata i Tadzika Wiśniowskiego paczek nie przyjęto. Jak się okazało, większość więźniów politycznych została rozstrzelanych. Z tym że nigdy nie odnaleziono miejsca tej egzekucji. Jeszcze przez prawie dwa miesiące młodszy brat był w więzieniu, a potem i jego rozstrzelano. Też miejsca nie ustalono. Pamiętam również jak wtedy przyprowadziliśmy mamę spod więzienia. Działy się tam dantejskie sceny. Matki były głowami w mur, wyrwały sobie włosy z głowy, była straszliwa rozpacz, A mama moja nawet nie uroniła jednej łzy, tylko po prostu skamieniała. Przyprowadziłyśmy ją do domu - nigdy przy nas nie płakała. Tylko nieraz w kościele, gdzieś w kącieczku popłakała i - znów przychodziła do domu i było wszystko w porządku. Jak się okazało, i mama i tato byli również członkami AK, ale o tym, dowiedziałam się już tutaj, w Polsce Ludowej.

- A za co aresztowano i zamordowano braci?

-Za udział w tej akcji pińskiej. Pamiętam, jak już tutaj, w kraju, przyjeżdżali panowie do mojego taty i przysyłali nawet listy, w których prosili, żeby tatuś opisał wszystko o chłopcach, czyli wszystkie dane dotyczące i tej akcji, jakie mieli pseudonimy, za co zostali rozstrzelani. Ale tatuś nie chciał w ogóle z nikim o tym rozmawiać. Powiedział tylko jedno: że im niepotrzebne są już medale, nagrodę oni dostali w niebie. A przecież to był czas, kiedy represje się jeszcze nie skończyły, nawet u nas w kraju.

Uwięzienie chłopców było związane z uwolnieniem dr Wani. To była akcja Ponurego. Oni należeli do tego AK. Ja przecież nie mogłam wiedzieć o tych szczegółach, a przecież nie będę mówiła o tym, czego

się dowiedziałam już później, z tych rzeczy publikowanych. Bo przecież to była konspiracja i ja nie mogłam przecież wiedzieć... Tak, zlikwidowano ich w 43, akcja, o ile sobie przypominam, była w okresie zimowym, teraz trudno mi powiedzieć, jaki to był miesiąc. Chyba przełom 42 i 43 r.

- W 43 przecież Wachlarz już nie istniał. A co z tym kapusiem, skąd się dowiedzieliście, kto to jest?

- Ja wtedy nie wiedziałam, kto to był. Tylko potem przecież ustalono...Bo była chyba wydana książka o tej akcji...

Chciałam jeszcze powiedzieć, jak wyglądało w tym czasie szkolnictwo. Mogłyśmy się uczyć tylko do programu klasy czwartej, bo już wyższych klas nie było. Trzeba było iść do pracy, albo wywożono na roboty. I pamiętam tylko - mam zresztą oryginalne świadectwa z tego okresu - że figurowaliśmy jako klasa czwarta C, a przerabialiśmy program po prostu sposobem podziemnym. Program klasy piątej. Potem były bombardowania, bo zbliżał się front. Przed pierwszym maja już były bombardowania ze strony bolszewików. Byliśmy do tego już przyzwyczajeni i przygotowani. Każdy miał przy swoim łóżku ubranie złożone w taki sposób, że jak tylko był alarm, to wystarczyło niecałe pięć minut i wszyscy byli w schronie. Mieliśmy na podwórku schron (kiedyś jakiś ogrodnik musiał być właścicielem tego), był tam metalowy strop i dość gruba warstwa ziemi na wierzchu. To była raczej taka piwnica. Była podzielona na dwie części : jedna należała do nas, a druga do pozostałych lokatorów. Byli to Żydzi i Rosjanie. Proszę sobie wyobrazić, że jak się tylko zaczynało bombardowanie, to oni nie szli do swojej połowy piwnicy, tylko wszyscy przychodzili tutaj do nas i prosili, żebyśmy się modlili, bo wtedy oni się nie boją.

- W 43 czy w 44 już Żydów chyba polikwidowano...

- Getto zlikwidowano dużo wcześniej, w 42 roku...tak...Chyba coś pomyliłam...Oni byli dopiero w 44 roku, jak przyszli Sowieci, pomyliłam. Ale Rosjanie byli. Kobiety, które nie mogły wydostać się wtedy.

stały jeszcze 4 domy, w tym ten, w którym mieszkaliśmy. To był dom murowany, więc tylko był pęknięty i tak chyba z pół metra podniesiony był dach, poddarty. Ale rodzice i siostry jeszcze żyły. Byli bardzo zdziwieni: jak ja mogłam sama przyjechać? A ja ich z kolei zaskoczyłam, gdy powiedziałam, że ja tam nie pojedę, że ja chcę zostać z nimi, bez względu na to, co nas będzie czekało. I zostałam w mieście. Teraz zaczęły się bardzo częste naloty. Nieraz dwie, trzy noce pod rząd. Bombardowania były tak straszne, że siedzieliśmy już na dworze i widziałam jak niosło głównie, całe pałace się głównie. Pamiętam, że w domu obok były jeszcze szyby, które się od tego żaru dosłownie topiły. Polewali wodą. Obok byli Czesi i Węgrzy i oni nam pomagali. To były chyba jakieś pomocnicze wojska ci Czesi i Węgrzy, bo mieli te maszyny prądotwórcze, te agregaty. To światełko migotało, ale było. Następną noc znów było takie straszne bombardowanie i to była niedziela. Wzięliśmy w ręce, co kto mógł unieść i nasi wsółklokatorzy z tego domu również, poszliśmy do kościoła, byliśmy jeszcze na Mszy świętej i stamtąd - już pichotą - poszliśmy na tę Siechieniewszczyznę. Były i małe dzieci, więc na zmianę nieśliśmy je na plecach. Przeszliśmy w tym dniu 15 km. Wtedy starsza siostra ze swoim przyszłym mężem poszli do tej Siechieniewszczyzny (szli całą noc) pierwsi i stamtąd przysłano po nas wóz. Zawieziono nas już na miejsce i tam byliśmy przez cały okres frontu. Pamiętam - był to okres dojrzewania zbóż i pamiętam również, że z jednej strony tej osady były baterie niemieckie, a z drugiej już następujących Sowieców. Mieliśmy wykopane takie rowy podobne do rowów strzeleckich, takim zygzakiem, nie zadane, ale wykopane dość głęboko. Tak osłuchaliśmy się tego ostrzału, żeśmy przestali po prostu... szczególnie dzieci, byliśmy bardzo ciekawe, ciągle chciałyśmy wiedzieć, co tam się dzieje. I pamiętam również, jak Niemcy się wycofywali. Zabierali mężczyzn ze sobą, zabierali wszystkie konie, zabierali młodzież, a myśmy ze strachu wyszli na drzewa. Z nami była jedna Sowiecka, która z nami przeżyła w na-

szym domu przez całą okupację niemiecką. Wleźć ze strachu to myśmy wleźli, ale potem był problem, żeby nas pozdejmować z tych drzew. A szczególnie właśnie tę Sowietkę. Miała na imię Wiera i przezabawnie wyglądało zdjęcie jej z tego drzewa, bo była dość korpulentna. Bo my, dzieciaki, to jeszcze szybko zlazłyśmy z tych drzew.

Ale co jeszcze Niemcy zrobili. Pozabierali wszystkie konie, a bydło - postrzelali. Nie zostało w całej osadzie, wśród tych bogatych kolonistów, ani jednej żywej krowy. Wtedy z tego mięsa wołowego zrobiono kiebasy. A czemu o tym mówię. Bo jak tylko przeszedł front, (a po naszej ucieczce na te drzewa następnego dnia rano już przyszli) pierwsi żołnierze sowieccy. Byli głodni, więc co kto miał... po prostu karmiono ich. Wtedy oni nas wyzwalali od tego drugiego wroga... Mieszkaliśmy na tej Siechieniewszczyźnie w stodole, bo było nas kilkanaście osób, i tu powstał problem: trzeba było pójść na pola, żeby sprzątnąć zboże. Bo ono już było tak dojrzałe, że się mogło zmarnować. I pamiętam ten fakt, jak tatuś z tym gospodarzem, który był bardzo wysoki, kosili. A nas za nimi dwoma pięcioro musiało podbierać, z tym że nie mieliśmy takiego doświadczenia, bo nigdy nie mieszkaliśmy na wsi. Z tym że tatuś po powrocie z niewoli niemieckiej umiał dosłownie wszystko robić. I pamiętam, że wtedy były kawałki zboża podpalone. Niemcy podpalali torebki z prochem, żeby wzniecić pożar i w ogóle spalić to zboże. Ale wypalało się jakieś 6 m. kwadratowych i dalej się nie paliło. Po prostu nie udało im się to. Pamiętam również fakt, jak zwoziliśmy te snopki z pola do stodoły. Był to parokonny wóz załadowany, jak to się mówi, do samego wierzchu. My szliśmy za tym wozem. I trzeba trafu, że na skrzyżowaniu dróg w środku osady, jak się okazało, nie wszystkie miny zostały znalezione. Koń nastąpił na minę, oba konie zostały rozerwane na strzępy, a nam się nie stało absolutnie nic. Bo byliśmy za wozem, z tyłu. I pamiętam taki sam wypadek z samochodem wojskowym - to był taki niewielki polowy samochód - też wpadł na minę, z ludźmi tam

znajdujących się nikt nie został żywy, a dosłownie kawałki ciał to aż na drzewa pozarzucało. Tak silny był wybuch.

I teraz front się posuwał coraz dalej, od przejścia frontu minęło dwa tygodnie. Trzeba było komuś iść do miasta, żeby zobaczyć, czy jest do czego wracać. Ze względu na to, że ja swoim charakterem przypominałam bardziej chłopca niż dziewczynkę chyba (pamiętam, w dzieciństwie dla moich lalek gotowała i szyła siostra, a ja z braćmi chodziłam "na wojnę"), więc jak trzeba było iść do tego Brześcia, to ja powiedziałam, że ja pójdę. Miałam wtedy już 14 lat, już przecież byłam doświadczona. I z tą właśnie Rosjanką we dwie poszłyśmy. Te 30 km. I dano nam właśnie na drogę tej kiełbasy, bo chleba niestety nie było. Wzdzie były jeszcze zwłoki, szczególnie tych zwierząt, wzdęte to leżało. Rozbite czołgi...bardzo świeże były ślady przejścia frontu. Most na rzece był spalony, tak że musiałyśmy wpław przechodzić przez ten most (?), cały dzień padał deszcz i te 30 km, o dzwono, zrobiłyśmy w ciągu czterech godzin. Przyszłyśmy do miasta - dom nasz stał. Był troszkę porozbijany, ale stał. Można było w nim znów zamieszkać. Ale co jeszcze zrobiłyśmy w tym dniu: z rozbitych domów naściągaliśmy cały chlewek desek różnych, drzewa, wiedząc o tym, że to będzie konieczne do palenia. Potem leżałyśmy trzy dni, bo miałyśmy popuchnięte nogi. I znów zaszła konieczność, że jedna z nas musiała wracać, pójść i zawiadomić ich. Ja zostałam w mieście sama. Ze swoją kozą Bašką. Przez cały tydzień byłam sama, po tygodniu przyszedł tatuś, został ze mną, a jeszcze za tydzień, a jeszcze za tydzień wozem przywieźli pozostałych. Najcięższe były noce, bo nocami były alarmy, już nie było takich bombardowań, ale jeszcze były różne niespodzianki. Zresztą miasto było prawie puste. Nie było co jeść. Chodziło się po ogrodach i szukało, czy przypadkiem gdzieś jakiegoś kartofla nie uda się zdobyć. Ale miałam tę swoją kozę Baškę. Jak były alarmy, ona była tak strasznie przestraszona, że kładłyśmy się na ziemi obie, ona się do mnie przytulała i drżała. Ale po alarmach Baška sku-

bała resztki trawki i miałam troszkę tego mleczka. I tak przeżyłam i doczekałam się powrotu rodziców.

I znów była następna okupacja, i znów była zmiana programu szkolnego, zmiana języków w szkole uczonych...

- Czy obywatelstwo narzucono sowieckie?

- Obywatelstwo sowieckie narzucono już w 39 roku. Uważali, że automatycznie ci, co pozostali po tej stronie granicy, są obywatelami Związku Radzieckiego. Nikt się o zgodę nie pytał. I tutaj następuje dalszy ciąg naszej epopei. Mieliśmy polską szkołę, mieliśmy jeszcze otwarte kościoły, jeszcze było sporo Polaków, których nie zdążyli wywieźć na Syberię Sowieci i na roboty do Niemiec - Niemcy. Więc szkoła była czynna. Wiadomo, nie mogła im się podobać obecność młodzieży, która jest według nich wrogo do nich nastawiona. A trudno było, żeby nie była tak nastawiona - wrogo. Dlatego, że jeżeli przychodzili do szkoły i mówili nam, że pochodzimy od małpy, to myśmy się z nich śmiali w żywe oczy. Jeżeli potrafili nam mówić, że żadnego Boga nie ma, "przecież widzicie, poproście go, żeby wam dał cukierków - niestety! A poproście Stalina, naszego wodza, to będziecie mieli cukierki" - i rzucaли te cukierki, po które żadne dziecko nie sięgało. w polskiej szkole. Wielką ostoją dla młodzieży polskiej byli kapłani. Szczególnie mieliśmy w tym naszym głównym kościele dekanalnym w Brześciu, kapłana, który bardzo przypominał księdza Jerzego Popiełuszkę, w swojej działalności. On był dla nas wielkim autorytetem. Młodzież tak go kochała, że gdyby trzeba było, chyba do Buga byśmy wskoczyli za nim. Pamiętam doskonale jego nazwisko: Ksiądz Jerzy Rosiak. Jest na moich zdjęciach, jest na nich sprzed okresu porwania go iępotem, po powrocie z obozów. Więc oni postanowili, że się z nami rozprawią. Tym bardziej, że to jest miasto graniczne i oni muszą ten element po prostu zlikwidować w mieście. A zlikwidować to w jaki sposób można: trzeba się rozprawić z inteligencją. Księdza Jerzego...przepraszam, jeszcze powrócę do pierwszej sprawy. Do sprawy naszej polskiej szkoły.

Jak wiadomo, musieliśmy brać udział w pochodach, czy to pierwszomajowych, czy na rocznicę rewolucji październikowej. I trzeba trafić, że nasza szkoła w czasie pochodu pierwszomajowego w 47 roku przeszła koło trybuny nie krzycząc "urra". To było powodem, że naszą szkołę polską zamknięto. W tym też roku porwano księdza Jerzego Rosiaka. Wszelkie poszukiwania po wszystkich oddziałach milicji i w NKWD i MGB nie dały żadnych rezultatów. Tylko na granicy, to znaczy nad rzeką Bugiem, podrzucono sutannę. I twierdzili, że on widocznie uciekł. Za Bugiem. Tymczasem został on wywieziony do najcięższych obozów radzieckich, do Norylska. I wrócił z obozu dopiero w 56 roku. Więc teraz, jak nie było kapłana, to można było zamknąć kościół. Co też zrobili.

- Ten kościół, którego zdjęcia załączyłaś?

- Tak, tak, załączone są zdjęcia tego kościoła. Był to piękny kościół, cały w polichromii. Obecnie jest tam muzeum, jest to wewnątrz zupełnie przetobione, zdjęte są wieże, w ogóle zmieniony jest bardzo. A był to najpiękniejszy kościół w Brześciu. Po zlikwidowaniu szkoły i kościoła zaczęto myśleć, w jaki sposób nas upłynnić z tego terenu.

- Ale to nie był chyba jedyny kościół i jedyny ksiądz?

- Były w Brześciu trzy kościoły, tzn właściwie dwa kościoły i kaplica na Kijówce. Oba kościoły zostały zamknięte, została tylko kaplica, która była czynna cały czas, to znaczy nawet do chwili obecnej jest czynna. Z tym że nie było kapłanów. Był tylko w okolicy jeden jedyny ksiądz, który nie był aresztowany z nami, ksiądz Grzybowski w Czernawczycach i on nieraz dojeżdżał tam, do Brześcia, i odprawiał. A jak nie mógł dojechać - ludzie modlili się sami. Kapłanów nie było.

Teraz, jak zamknęli nam tę szkołę polską, musieliśmy iść dalej uczyć się do rosyjskich szkół. I wtedy wstąpiłam do technikum muzycznego w Brześciu, gdzie jednocześnie uczyłam się w klasie dziewiątej. I muzyki się uczyłam, byłam w klasie dyrygentury. Wszyscy w rodzinie śpiewali, miałam po prostu zdolności wrodzone. Śpiewali wszyscy w chórze.

W tym technikum były wszystkie przedmioty muzyczne. Teoria muzyki, solfeż, tzn. śpiewanie z nut, pisanie jakiegoś utworu ze słuchu, fortepian, lekcje dyrygentury - wszystkie przedmioty muzyczne były. I był dość wysoki poziom. Ja bardzo kochałam muzykę i chciałam się uczyć. Z tym że nie miałam instrumentu w domu, nie miałam ani pianina, ani fortepianu. Ale uczyłam się z takim zapałem, że w przeciągu jednego roku zrobiłam program dwóch lat. Uczyłam się ze swoją serdeczną przyjaciółką, Talą Odyńską, która potem dzieliła wspólne losy ze mną. Tala była 3 lata starsza ode mnie, była rówieśnicą mojej siostry i właściwie w szkole średniej uczyła się z moją siostrą. Ale po zamknięciu szkoły ona też przyszła do tego technikum. Miała już skończoną dziesięciolatkę. Ja miałam skończone w polskiej szkole 8 klas i zostało mi dwa lata, a ona przecież była o 3 lata starsza. Nie musiała się już uczyć tych przedmiotów ogólnokształcących z zakresu średniej szkoły, a ja jednocześnie robiłam dziewiątą klasę. Młodzieży polskiej było nas kilkoro i, o dziwo, uczyliśmy się bardzo dobrze. Nie było powodów, żeby się można było do nas "ucześcić" z tytułu nauki. No ale przecież wiadomo było, że mamy światopogląd zupełnie inny, że nam się nie podobało to, co się działo. Że nam się nie podobało wszystko to, co nazwane zostało później stalinizmem. My byliśmy przecież wychowani w zupełnie innych warunkach. Nie podobała nam się okupacja niemiecka, ale i nie odpowiadała nam okupacja radziecka. Tym bardziej że wiadomo było, czego oni mogą nas nauczyć. Historia w ich wydaniu była przecież fałszem i obłudą. A myśmy jeszcze pamiętali czasy przedwojenne, szczególnie starsza młodzież. Dyrektor szkoły, który był Żydem, ciągle nam robił zarzuty: jak my możemy śpiewać w chórze kościelnym i jednocześnie uczyć się w tym technikum muzycznym. Że przecież oni nie będą szykowali kadr do chóru kościelnego. I wtedy ja poprosiłam księdza, żeby mi dał zaświadczenie od ilu lat ja jestem członkiem chóru kościelnego. A członkiem oficjalnym byłam od czternastu lat - miałam siedemnaście przecież, czyli już trzy lata śpie-

wałam w chórze kościelnym. I mówię : Panie dyrektorze, raczej kościół szykuje panu kadry. Bo przecież myśmy wszyscy śpiewali w chórze.

- Czy ilość Polaków w Brześciu się zmniejszyła i kto wobec tego napłynął?

-W technikum muzycznym było nas kilkoro, ale były inne szkoły w mieście i kto nie miał zdolności, szedł do innych szkół rosyjskich. Przed wojną przewagę stanowili Polacy, ale w czasie pierwszej okupacji radzieckiej masa ludności polskiej została wywieziona na Syberię. W czasie okupacji niemieckiej masa była i rozstrzelanych, i wwywiezionych do obozów koncentracyjnych i wywiezionych na roboty do Niemiec. Z kolei z chwilą trzeciej już okupacji, a powtórnej radzieckiej przecież część ludzi repatriowało się do kraju, tak że nas już nie zostało tam tak wielu. Napływali Białorusini, Rosjanie, Żydzi. Żydzi już radzieccy, bo tamci byli zlikwidowani. Ale teraz znów razem z KK frontem... Przecież ci, co nas później sądzili, to byli Żydzi. I sędzia i prokurator. W technikum muzycznym był dyrektorem Żyd, wykładowcami przedmiotów kilku też byli Żydzi i Żydówki. Po prostu oni zajmowali zawsze jakieś takie lepsze stanowiska. Było tak nie tylko w szkołach i technikach ale i we władzach. We władzach śledczych, w milicji i wszędzie. Dyrektorami to najczęściej też byli Żydzi, bo to byli ludzie wykształceni, niestety. I umieli rządzić - właśnie nimi też.

W tym czasie takich już częściowo represji w stosunku do młodzieży polskiej, jasne, że myśmy się starali bronić. Czym? Samokształceniem w tych przedmiotach, których nie mieliśmy już teraz w szkole. Bo byliśmy w posiadaniu książek, które w rodzinach pozostawały po starszym rodzeństwie (historia). Korzystaliśmy z tego. Jednocześnie zawiązała się znów konspiracja. A młodzież jak zwykle - jest zawsze odważna i beztroska. Myśmy sobie po prostu nie zdawali sprawy z tego że nasz światopogląd może przynieść takie konsekwencje, że może nam grozić...

~~- Czy to był jakiś spadek~~

- Czy to był w jakimś sensie spadek i kontynuacja po konspiracji starszych? Czy też to było samorodne wśród młodzieży.

- Było to takie i takie. Spadek po starszych to była w ogóle dążność do tego; tradycje rodzinne, wzorce...

- Ale czy to były też pewne osoby?

- To znaczy : wśród naszych rodziców raczej nie. Oni byli przecież doświadczeni. Moich rodziców nikt nie odkrył, nikt ich nie zdradził, nie byli aresztowani. A przecież byli a AK. Już po powrocie do kraju, kiedy pętałam się, czemu nam nigdy nie powiedzieli o swojej działalności, o swojej przynależności do AK - to mamusia mi wtedy odpowiadała: Moje dziecko, czy ty sobie wyobrażasz, że nasza konspiracja to mogła być taka jak wasza, dzieci, które wybrano dosłownie co do sztuki? I tak było istotnie.

Znalazł się taki wojskowy, który się podawał za oficera, że jest przerzucony po prostu na tamte tereny, że AK nadal istnieje - i związała się znów AK.

- Ale czy to był prowokator? Kto to był? W czyim imieniu was zaprzysiężono. Przecież AK już nie istniało. Znasz jego nazwisko? Przecież to jest prawda historyczna, nie ma co owijać w bawełnę...

- Wtedy ja nie wiedziałam, kto to był, bo obowiązywała konspiracja, przecież mogłam znać tylko kilka osób. To był oficer polski, który przeszedł szlak do Berlina, potem - czemu on wrócił na tamte tereny trudno mi powiedzieć. Czy miał faktycznie takie zadanie, czy sobie coś uzurpował? Trudno mi powiedzieć. Wolalabym nie mówić, jakie miał nazwisko...nie pamiętam... Wiem, że miał na imię Józef (zastanowienie) ale nazwiska nie pamiętam. W każdym razie zaprzysiężono nas w imieniu AK, które w jego pojęciu istniało. Nie powiem z całą pewnością, jak oni to nazywali... minęło tyle lat. Zresztą mówię, że można było tylko trzy osoby znać. System trójkowy. Znałam tylko tego, kto mnie zwerbował, kto był obecny przy przysiędze, tylko właściwie te kilka osób. A o wszystkim to się już dowiedziałam po areszcie. Z tego boksu w którym siedziałam w MGB przez szparę w drzwiach

widziałam, jak przyprowadzali kolejnych kolegów - jak się okazało większość z nas w tym była. Nie było wśród nas wtyczki. Po prostu nieostrożność i wsypa. I to nawet nie była wsypa w Brześciu, tylko w Kobryniu. Między chłopcami należącymi do tej naszej konspiracji był jakiś zatarg i doszło do użycia broni. Jeden drugiego ranił. A oprócz tego - to jest teraz nie do pomyślenia - żeby mieć wszystkie spisy, nazwiska, całą dokumentację, pseudonimy - to wszystko. Cała dokumentacja wpadła im w ręce. Nie wiem, czy ten z tej zemsty to wydał, w każdym bądź razie nas wybrali - dzieciaki - ze szkół. Głupiotkich, naiwnych, którzy nie mieli doświadczenia. W 48 roku to była dla nich doskonała okazja, żeby się nas pozbyć. Zrobili proces pokazowy, ale nie przy drzwiach otwartych, bo sędził nas trybunał wojskowy. Nikogo nie dopuścili. I nam, nastolatkom, a najmłodszy wśród nas mieli po 15 lat, dano wyroki po 25 lat. Pamiętam - w ostatnim słowie, które każdy miał prawo wypowiedzieć po ogłoszeniu wyroku - ja nie prosiłam ani o jakąś litość, o zmniejszenie wyroku, tylko prosiłam o umożliwienie zobaczenia się z rodzicami. Nawet tego nam nie dano. Dano nam adwokatów, którzy nas tak bronili, że myśmy dostali po 25 lat. Oprócz tego dano adwokatów z urzędu i potem obciążono rodziców bardzo wysokimi sumami do zapłacenia. Za tę obronę. Jeszcze chciałam powiedzieć, jak wyglądało aresztowanie. Przyszło tych panów aż trzech. A trzeba trafu, że w przeddzień aresztu stałyśmy z siostrą w kolejce po mydło. I po prostu w tej kolejce ja się przeziębiam, bo to wiele godzin trzeba było stać. A to było tak atrakcyjne, bo brak przecież było tych rzeczy, że stałyśmy dość długo po to mydło. I w następnym dniu mama postawiła mi bańki. Jak po mnie przyszli, ja byłam właśnie po tych bańkach i leżąca. W domu fakt przyjscia po mnie był takim zaskoczeniem! Nigdy rodzice nie przypuszczali, że ja mogę być w cokolwiek zamieszana. Po przeprowadzeniu rewizji, w czasie której zabrano dokumenty, które są ujete

w protokóle z rewizji, który przedkładałam. Tam są wymienione dokumenty które były zabrane: paszport, metryka urodzenia, legitymacja studencka, to nieszczęsne zaświadczenie o udziale moim w chórze w kościele katolickim w języku polskim, potem różna korespondencja, listy, pocztówki i czyste blankiety z pieczęcią miejskiego szpitala. Zabrano również pewną ilość medykamentów, zarzucając mi, że to wszystko było przygotowywaniem walki przeciwko Związkowi Radzieckiemu, a te czyste blankiety, żeby kogoś umieścić w szpitalu (z tych działań). I lekarstwa były przecież potrzebne, żeby w razie czego ¹⁰⁷odziałom dostarczać. Czyli zrobili z nas tak strasznych zbrodniarzy, że aż należało nam dać po te 25 lat. Przyszło ich trzech i zabrali mnie ze sobą. W samej sukience, powiedzieli, że żadnych rzeczy mi nie potrzeba, bo ja wrócę, potrzebna im tylko jestem do załatwienia pewnych spraw, nie powiedzieli jednak, że te sprawy będą tak wyglądały. Przeprowadzili do MGB i zaczęło się śledztwo. Śledczych było pięciu, zmieniali się, a śledztwo trwało bez przerwy. Największym szokiem było dla mnie to, że wyrażali się, a szczególnie jeden z nich, najokropniej. Najokropniejsze przekleństwa. U nas w domu się nigdy nikt nie wyrażał, po prostu nie byłam do tego przyzwyczajona. I myślałam: Boże, jak to może być, że oni tak wyrażają się, klną na mnie i na nich się nie zawali sufit! Jakie oni mają ku temu prawo. Ale potem się okazało, że mają jeszcze więcej praw. Śledztwo trwało bez przerwy dzień i noc. W czasie śledztwa to była metoda, te przekleństwa - mieszali człowieka z błotem. Bo z przekleństwami, które już były takim normalnym językiem to się później zetknęłam w więzieniach i w obozach, gdzie to po prostu to uchodziło za normalny język, że co drugie trzecie słowo był tzw. mat. A w czasie śledztwa to była metoda. Poniżano godność ludzką... Wreszcie zamknięto mnie do boksu. To była piwnica betonowa, w której nie było absolutnie żadnego okienka, tylko była szpara w drzwiach. To jeszcze nie było więzienie, to było MGB. Do więzienia trafiłam kilka dni później. Przez tę szparę miałam możliwość widzieć

tych wszystkich kolegów, których kolejno aresztowali i przywozili, i umieszczali tam w MGB. Dopiero wtedy, kiedy nie było wolnych cel i wolnych boksów, przewieźli mnie do więzienia. Jakie mi dano pierwsze jedzenie, właśnie tam, w tym boksie: zupę, były tam kartofle z obierzynami i ości rybne. Było to tak strasznie cuchnące, że mimo głodu nie mogłam tego jeść. I tylko się modliłam, i prosiłam, żeby zabrali to z tego boksu, bo on był tak malusieńki, że po prostu się dusiłam, nie miałam tam powietrza. A oprócz tego ja przecież byłam po tych bańkach. I to śledztwo było było bez przerwy - byłam głodna i osłabiona. A tam tylko był beton. Więc kładłam się w tej letniej sukieneczce na betonie, ze zmęczenia już, i zaczęłam strasznie kaszleć. Prosiłam, żeby mi dali coś pościelić, czy jakieś deski. A oni mi mówili, że taki faszysta i przestępca jak ja ma za wysokie wymagania, jeszcze chce deski! Wtedy pokazałam im swoje plecy - że są czarne po tych bańkach - i to ich chyba trochę wzruszyło i dali mi dwie deski, na których się położyłam. Po kilku dniach przewieziono mnie do więzienia, a wieziono mnie jednocześnie z małym, dziewięcioletnim chłopcem, którego pytałam, za co siedzi, czy jest skazany. Powiedział, że tak, że dostał siedem lat wyroku, zato że ukradł chleb.

I tak trafiłam do tego właśnie naszego brzeskiego więzienia, w którym byłam w 43 roku po raz pierwszy z tą paczką. Siedziałam sama w dużej celi. Były tam straszliwe pluskwy, a ja nie miałam żadnego innego ubrania, tylko tę sukieneczkę, a czasie śledztwa nie przyjmowali żadnych absolutnie paczek. Jeszcze w dzień to można sobie było jakoś z tym poradzić. Ale noce były okropne - cała masa tych pluskw rzucała się dosłownie na człowieka. Oprócz tego śledztwa przeprowadzane były przeważnie w nocy. A jeszcze mieli taki sposób bycia ci strażnicy więzienni, że na tę kamienną posadzkę korytarza - rzucali cały pęk kluczy. To było takie echo, że dosłownie wszystko od razu skakało na nogi. Z tych nar, czy z tych łóżek. Każde otwarcie drzwi i słowa "Kto na F - wychadź!" - powodowało taką reakcję (dosłownie skurcz żołądka) - i momentalnie trzeba było lecieć na baraszkę. A jeszcze prze-

cież nie za bardzo czekali, żeby się człowiek mógł ubrać normalnie. Tylko - "wychadi!". Nie brano mnie do szpitala więziennego, ja się czułam coraz gorzej i w bardzo szybkim czasie zachorowałam już na gruźlicę płuc. Aresztowano mnie 29 lipca, a nasza rozprawa zaczęła się 17 września i trwała do 20 września. Śledztwo więc trwało długo. Nieraz z tych śledztw to wracałam tak, że nie widziałam przed sobą drogi. Ale nie mogę powiedzieć, żeby mnie bito. Koleżanki były bite. Nie wiem, czy wyglądałam tak żałośnie, czy tak smarkato jeszcze, że pop prostu mnie nie bito. Znęcano się za to w inny sposób. NP jedną z tortur pewnego rodzaju było sadzanie na stołku takim, że nogi nie sięgały podłogi. Po takim wielogodzinnym siedzeniu - nogi puchły. Albo stawiano i trzeba było unosić ręce do góry. Wyrażano się w przekropny sposób. Grożono, że jeśli się nie przyznam, aresztują rodziców, bo mnie najbardziej dobijało, bo jednocześnie z moim śledztwem, dotyczącym mojej sprawy ogólnej, miałam drugie śledztwo, dotyczące mojego tatusia. Cały czas przekonywano go, że on przede mną siedzi, że ja jestem temu winna. Pokazywano mi nawet zeznania z jego podpisem. Okazało się, że one były fabrykowane. Bo mój tatuś został aresztowany dopiero w rok po moim areszcie. I śledztwa, które dotyczyły tylko mnie, znosiłam, można powiedzieć, mężnie. Ale te, co dotyczyły mojego taty, dobijały mnie strasznie. Do tego stopnia, że po naszej rozprawie sądowej i po umieszczeniu mnie już razem z moimi koleżankami w jednej celi, tam gdzie siedzieli wszyscy ci, co mieli po 25 lat (siedzieliśmy w pojedynczej celi we trzy) - ja już byłam tak chora, że leżałam w celi. I tak trwało do 23 grudnia. Cały czas byliśmy jeszcze w tym brzeskim więzieniu, wypuszczano nas nieraz na 15-20 minut na tak zwaną progólkę. Na takie niewielkie podwórka z bardzo wysokimi murami, po których chodziło się dookoła, w kółeczko dosłownie - jeden za drugim, ręce trzeba było trzymać do tyłu. W sąsiednich podwórkach chodzili również nasi, bo nas było dużo aresztowanych i osadzonych, między innymi był ksiądz Horodeński Józef. Żeby

dać znać, że on tam jest i że wie, że jesteśmy tutaj - to chodząc śpiewał. A wyglądało to tak: "Tala, Tala, Tala... I Marysia też". No więc myśmy mu odpowiadały podobnie. Staraliśmy się to robić w ten sposób, żeby strażnik, który chodził tam u góry - nie ukarał nas za to. A byliśmy przecież takie młode, nieraz ćwiczenia gimnastyczne próbowałyśmy robić, jak było troszeczkę jeszcze cieplej na dworze. Z tym że sytuacja uległa poprawie w jakim sensie - że zaczęłyśmy dostawać już po wyroku paczki żywnościowe i paczki z ubraniami od rodziców. A ze względu na to, że koleżanka moja siedziała razem ze mną właśnie ta Tala Odyńska, nasze matki porozumiały się i jeden dzień jedna przynosiła paczkę, a następnego dnia - druga. I potem przechodziły na drugą stronę więzienia, tutaj od strony rzeki Muchawca, tak że jeżeli się wlaźło na okno, które było ponad murem, to można było ich zobaczyć. A oni nas mogli zobaczyć tylko wtedy, gdy się przez kratę przesunęła rękę. Jeden raz krzyknęłam do matki kolegi, że on jest tutaj, w więzieniu. I za to dostałam trzy doby karceru. Na czym to polegało? Karcer to była piwnica, cała betonowa, przedzielona przez środek jeszcze żelazną kratą. W pierwszej części karceru zostawiało się rzeczy (jeżeli się miało jakieś jedzenie, to potrafili to jedzenie wystawić, żeby było widoczne), otwierano tę kratę i wchodziło się do drugiej połowy. Idąc do karceru trzeba było zabierać wszystkie swoje rzeczy, bo nie było żadnej pewności, że do tej celi się wróci. Coaży ten swój worek z "majątkiem". Komenda brzmiała: "Zabierajties s swieszczami" - i wyprowadzano do karceru. Po drugiej stronie tej kraty, za którą się siedziało, był taki stołek betonowy, przybetonowany do podłogi, taka kolumnienka, dosłownie. Ze względu na to, że nie było jeszcze uruchomione centralne ogrzewanie, a ja byłam w tej swojej letniej sukience tylko i siedziałam tam właśnie te trzy doby, to jeszcze bardziej się przeziębiłam. I to się po prostu nakładało jedno na drugie, że ta moja choroba się pogłębiała. Oprócz tego okieneczko u samej góry było wybite. Na czym polegało karmienie w kar

karcerze? Dostawało się 30 dkg chleba i przynoszono wrzatek w aluminiowej misce. To było tak gorące! A trzeba było wypić w szybkim czasie. Rzadko kiedy udawało się wypić trochę, bo człowiek się parzył dosłownie. Obok mnie, w sąsiednich boksach-karcerach siedzieli kryminaliści, którzy się strasznie wyrażali! Ja ich ciągle prosiłam, że by się nie wyrażali, to oni mówili, że nie na mnie się wyrażają i jak będę śpiewała, to oni nie będą się wyrażali. No więc ja śpiewałam i polskie i rosyjskie piosenki i te ze swojego technikum muzycznego. Wtedy była faktycznie cisza. Ale jak kończyłam śpiewać, to zaczynały się ich rozmowy, a wyglądały one w ten sposób, że co drugie, trzecie słowo, to było właśnie mat. Żeby mi udowodnić, że oni do mnie nic nie mają, to nawet mi na sznureczku przerzucili dwa zębki czosnku, a czosnek to było przecież bogactwo. I wreszcie trzeciego dnia przychodzi jeden z nadzieratieli (a ja sobie właśnie śpiewałam, tak że w trakcie tego mojego śpiewu mnie zastał) i mówi: Ty tutaj sobie śpiewasz, a twoja matka trzy dni siedzi pod więzieniem i płacze. A faktycznie to był miesiąc wrzesień i były imieniny mojej mamy. Jak nie przyjęli paczki, to ona wiedziała już, że coś się stało. Bardzo możliwe, że tam przesiadywała pod tym więzieniem. To na mnie zrobiło takie wrażenie, że ja, która przez te trzy dni starałam się nie płakać, jakoś utrzymać się w kondycji, modlić się i myśleć o czymś innym - rozplakałam się tak strasznie, że on mnie kilka godzin wcześniej wypuścił z tego karceru. Przeprowadził z powrotem do celi.

Później mieliśmy też taki przypadek, że koleżanki ojciec przyszedł z jej malutkim bratem Arturem, który miał wtedy ze cztery lata. I ona weszła na to okno i zobaczyła tego ojca z tym braciszkiem, to dostała dosłownie jakiegoś szoku. Nie mogłyśmy jej oderwać od tych krat. I zaczęła krzyczeć do nich. I wtedy ma się rozumieć, strażnik więzienny nas złapał i dostałyśmy ta zwany karcewny reżym, na całą celę. Objęło to nas wszystkie trzy. Ze względu na to, że

nie było miejsc w karcerach pod ziemią, zostawiono nas w celi, z tym że nie dawano nam tego jedzenia już. Ale to już było łatwiejsze do wytrzymania. I jeszcze jeden raz siedziałam z tą swoją przyjaciółką Talą Odyńską w karcerze, już w grudniu. W czasie pobytu w tym więzieniu robiłyśmy różańce ze względu na to, że w sąsiednich celach siedziało dużo naszych kolegów i siedzieli księża - właśnie ten nasz ksiądz Horodyński. A z czego robiliśmy : jak dostawałyśmy chleb, to (mając paczki z domu) mogłyśmy sobie pozwolić na użycie części tego chleba na robienie różańców. Moja mamusia przemyciła mi igłę w walonku, a nici robiłyśmy z bandaża, który uprosiłyśmy u siostry, która robiła obchód. A że ja byłam chora, zawsze się coś tam wymyśliło. Dała nam kawałek bandaża i z tego bandaża kręciło się te nici. I robiłyśmy te różańce. Nie pamiętam już w tej chwili, za co myśmy popadły do tego karceru, w każdym bądź razie zabrano nas obie z rzeczami do karceru. Tam, po drugiej stronie kraty była jeszcze tzw. parasza, kibel. W tej paraszy była obręcz obłuzowana. Myśmy tę obręcz zerwały, rozgięły, a ja jednak byłam bardzo szczupła i miałam długie ręce. Sięgnęłam tą obręczą przez kratę, zahaczyłam o jakąś miseczkę, w której było jedzenie i przeciągnęłyśmy sobie to przez kratę, schowały za ten słupek betonowy, tak że już nie byłyśmy tak strasznie głodne. Resztę wszystko się odepchnęło, nie było wiadać. Siedziłyśmy sobie w najlepsze i z kawałka chleba robiłyśmy sobie tam różańce. W tym karcerze. Bo to już była zmiana tych strażników i to był okres taki, kiedy mniej nas podglądano. Bez tej obręczy nie dostałabym do tego chleba. I proszę sobie wyobrazić, otwierają się drzwi i przychodzi strażnik. Ale strażnik, znajomy tej koleżanki rodziców. I mówi: Wychodźcie z rzeczami. Otworzył nam te drzwi i widocznie się zorientował, że nie jesteśmy czyste z tej drugiej strony. I zostawił nam te drzwi i wyszedł. Myśmy w tym momencie przeniosły szybko to jedzenie do tej pierwszej części, te paciorki z chleba i tę igłę, szybko schowałyśmy. Przyprowadził nas

do celi dużej, ale już nie do tej, w której byliśmy poprzednio, Okazało się, że szykowali nas do etapu.

Teraz jeszcze chciałam powiedzieć o jednej rzeczy: jak straszne były warunki moralne w więzieniu. Miałyśmy tzw. banię, czyli wprowadzano nas do łaźni co pewien czas. Jaki był straszny szok podczas naszego pierwszego bobytu w tej bani. Kazano nam się rozebrać do naga - mogłyśmy wziąć ze sobą tylko ręcznik. Wszystkie rzeczy z celi też trzeba było wziąć ze sobą i one były oddawane do tzw. pruzarki. Jeśli były wszy, lub jak to się mówiło inne nasiekomyje, to ta wysoka temperatura mogła je zabić. Wełniane jakieś rzeczy się niszczyły. Nieraz już potem nie nadawały się do noszenia, jeżeli była bardzo wysoka temperatura. I proszę sobie wyobrazić, że jak już kazali nam się rozebrać, wziąć te ręczniki, otwierają się drzwi, wchodzimy do tej łaźni - a tam była obsługa męska. Był to dla nas straszny szok. Po prostu nie wiedziałyśmy, jak się osłonić tym ręcznikiem, który miałyśmy w ręku. Dostawałyśmy się takie nieduże drewniane naczynie i w tej niewielkiej ilości wody musiałyśmy się umyć. Mogłyśmy sobie coś przeprać, z tym że trzeba było bardzo oszczędzać, Wymyć się i jednocześnie, jeśli się udało coś przemyć z bielizny naszej, to wyprać. A mydło jak wyglądało: to było takie rzadkie mydło, brali taką łopatką i tutaj maznęli gdzieś po ramieniu. To było wszystko. I w tym trzeba było i głowę umyć i samemu się umyć.

Pierwszy rok był strasznie ciężki przez to, że musieliśmy się przyzwyczaić do tych warunków. Po prostu je zaakceptować, jeśli chciałyśmy przeżyć. Bo buntowanie się niestety, nie dawało żadnego rezultatu.

- Żadnych sanitarnach środków nie dostawałyście?

- Nie. Dostawałyśmy dwa razy dziennie herbatę. Znaczący, to była woda przegotowana, zafarbowana kawą. Więc jak dostawałyśmy w kubek tej herbaty, to mogłyśmy albo ją wypić, albo się w niej umyć, albo coś w tej ilości przeprać. I okazuje się, że w takiej małej ilości

można się wymyć. Człowiek musiał sobie na wszelkie sposoby radzić. I właśnie z tej celi, w której już zbierano nas na etap, wyprowadzono nas też kolejny raz do tej łaźni. Ale przed wpuszczeniem nas do pomieszczenia, w którym była łaźnia, wpuszczono nas do pokoiku. I proszę sobie wyobrazić nowe zaskoczenie i nowy szok: mężczyzna z maszynką do golenia - żeby nas ogolić we wszelkich miejscach, gdzie rosną włosy. Włosy na głowie pozostawiono. Można było je czesać grzebieniem przysłanym z domu, czy jedna drugiej po prostu wyszukiwać i bić. To się nazywało "san-aborotka". I proszę sobie wyobrazić, że tutaj to myśmy już nie ustąpiły. Myśmy podniosły tam taki wrzask, jakby nas torturowano albo mordowano całą rodzinę. Było nas tam trzy Polki. Całe więzienie stanęło dosłownie na nogi. I oni nic nam nie zrobili wtedy. Przeprowadzili tę "san-aborotkę" aż w więzieniu w Moskwie, jak dali nam niewiastę do tego.

W miesiącu grudniu rodzice nasi pełnili dyżury pod więzieniem, żeby chwycić moment wywożenia nas. I tak się też stało. W noc z 23 na 24 grudnia wyprowadzono nas z więzienia. Było nas około 30 osób. W tym z naszej sprawy sześcioro. Trzy dziewczynki i trzech chłopców. Pogoda była straszna. Ślizgawica i zadymka śnieżna. Ze względu na to, że ja byłam bardzo słaba fizycznie i przedtem już leżałam w celi, chłopcy nasi nieśli moje rzeczy, a ja szłam między koleżankami i trzymałam się. Chodziło o to, żeby moja mama nie spostrzegła, w jakim ja jestem stanie. Mama szła od latarni do latarni chodnikiem, nie wołała, nie krzyczała, żadnych gestów nie robiła, tylko widziałam, że się modli. A nas prowadzili otoczonych żołnierzami z psami na smyczach. Przyprawiono nas w pobliżu dworca, weszliśmy na most - wtedy rodziców już zatrzymali, dalej nie pozwolono im iść. Dopiero wtedy, kiedy nas zaprowadzono do pociągu, mama stanęła na środku mostu, przeżegnała nas krzyżem, i to było ostatnie moje widzenie się z mamą. Nie pozwolono również przekazać nam czy jedzenia czy jakichś rzeczy. Załadowano nas do pociągu pasażerskiego, tylko

że do specjalnego więziennego wagonu. Każdy przedział to była swego rodzaju cela. Z kratami i kormuszką pośrodku. Było nas dużo osób w takim przedziale. Było piętro, na którym też były więźniarki. A ze względu na to, że byliśmy ze swoimi bagażami, ze swymi rzeczami - było bardzo ciasno i gorąco, szczególnie na górze. Do toalety wypuszczano nas dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Obchodzenie się konwoju z nami było bardzo różne. Byli tacy, którzy wyżywali się na więźniach właśnie w tym momencie. Przecież jak pociąg jedzie szybko, to trzęsie i człowiek nie może iść równo tym korytarzem, tym bardziej człowiek wypuszczony z przedziału, w którym jest się ściśniętym. Mieliśmy nawet taki przypadek, że pewien więzień prosił o wypuszczenie go do ubikacji. Konwojent się nie zgodził na to i wtedy ten więzień zakatwił swoje potrzeby fizjologiczne do butów. I wyszedł później na śnieg bosso. Ale były też i odruchy ludzkiego traktowania nas. W pierwszy dzień świąt staliśmy na boczniczy w Mińsku. Oficer dyżurny naszego wagonu więziennego ż prosił: Spiewajcie, dziewczynki. Przyszedł do naszego przedziału. A myśmy śpiewały kolędy. Postawił również czujkę, który go zawiadamiał - jakby się zbliżał ktoś niepowołany, da mu znać.

Później dowieziono nas do Moskwy i umieszczono w więzieniu Krasnaja Presnia. Tam byliśmy około miesiąca. Pierwsza cela, do której trafiłyśmy była pełna niewiast, z tym że bardzo duża ilość była kryminalistek. Po raz pierwszy zetknęłam się w tej celi z hermafrodytami, z kobietami z tatuażem we wszystkich dostępnych miejscach ciała. Pobył z nimi groził nam tym, że nam zabiorą i rzeczy i jedzenie, a gdy byśmy się nie chciały na to zgodzić to mogą i pokaleczyć. O tym zawiadomiły nas inne więźniarki polityczne, które były w tej celi. Wtedy zaczęłyśmy stukać do drzwi i stukałyśmy do tej pory, aż nas zabrano z tej celi do celi więźniów politycznych. Ze względu na brak miejsca na narach, spałyśmy pod narami, a w wąskim przejściu były tylko nasze głowy. Spałyśmy na posadzce betonowej.

Z więzienia w Moskwie przewieziono nas etapem do Kirowa.

I w Kirowie musiałyśmy odbyć kwarantannę ze względu na to, że koleżanka nasza, Zosia Teleman zachorowała na szkarłatynę. Potem mnie samą wysłano z katorżankami i kryminalistkami na Workutę, etapem. Nie mogę się skarżyć na to, że się ze mną źle obchodziły. Otaczały mnie nawet swoją opieką ze względu na to, że byłam chora. Ale po przejeździe na Workutę, odchodząc na katorgę - zabrały po prostu moje jedzenie, w czasie, kiedy ja byłam w łaźni. A czemu byłam? Bo dostałyśmy świerzbu w czasie etapu, więc trzeba się było smarować mazidłem takim i potem iść do łaźni. Więc one wykorzystały ten moment, wzięły moje jedzenie, bo dostałam w Kirowie paczkę, zostawiły mi tylko kawałek słoniny i pojechały na katorgę. Stamtąd przysłały mi pozdrowienia i karteczkę, że za moje zdrowie zrobiły tam sobie ucztę i życzą mi wszystkiego najlepszego. Nie mogłam czuć do nich żalu - były to więźniarki, które nie otrzymały żadnej pomocy, żadnych paczek. Tak się skończyły moje kontakty z Katorżniakami.

Na Workucie stosowano oznaczenia: na rękawie malowano rosyjską literę "R" - jako oznaczenie obozu reżymowego. Bo poprzednio byłyśmy w obozie razem z mężczyznami i wszystkimi kryminalistami. To było dla nas bardzo ciężkie. To były Isprawitielno Trudowyje Lageria IGŁ. Dlatego byłyśmy raczej zadowolone, jak nam wprowadzono obozy reżymowe, w których już nie było mężczyzn i mała była ilość więźniów kryminalnych. Nie musiałyśmy słuchać tych wiecznych przekleństw, mimo że warunki miałyśmy cięższe pod względem dyscypliny. Na Workucie mieszkaliśmy w barakach. Co było jeszcze tam ciekawego. Było to już za kręgiem polarnym, więc była zorza polarna. Wyglądało to pięknie, tylko podziwianie tego było dość ciężkie przy silnych mrozach. Bo przecież mrozy tam były - poniżej 40 stopni. Nie było tam w ogóle żadnych drzew, były tylko jakieś takie maciupeńkie krzaczki, jak jagodnik - coś w tym rodzaju i mchy. Jak również była tam wieczna zmarzlina. W pierwszym okresie trudno nam było się do tego przyzwyczaić. Do białych nocy. Zima kończyła się gdzieś w miesiącu maju, szybko topniały śniegi, dzień robił się coraz dłuższy i wreszcie słońko

prawie w ogóle nie zachodziło. Przewędrowało przez nieboskłon, szło równiutko nad horyzontem i znów wędrowało do góry. Tak że nie wiadomo było, kiedy jest dzień a kiedy noc, bo był dzień przez 24 godziny. Ale do wszystkiego trzeba było się przyzwyczaić. W początkach września zaczynał padać śnieg i zaczynała się zima. Skracał się coraz bardziej dzień, a wydłużała noc, tzw. noc polarna. Dzień wyglądał tak, że był to po prostu taki brzask, który trwał krótko.

Obóz nasz znajdował się między kolejowymi torami. Silne purgi, śnieżyce zawiąły tory i musieliśmy odkopywać te tory, żeby mogły przejeżdżać pociągi. Była to jedyna droga prowadząca na północ. Zaspy śnieżne były bardzo duże, głębokości kilku metrów dochodziły. W czasie tych purg wiatr był tak silny, że dosłownie nic nie było widać za tym śniegiem. Jeżeli brygady nie zdażyły wrócić do obozu, to były przypadki, że dopiero na wiosnę znaleziono - trupy już. Nawet w obrębie samego obozu w czasie śnieżycy tej nieraz posługiwano się sznurami, za które się trzymano, bo bez tego - bywały wypadki - można było nie trafić już do swojego baraku, były z tym wielkie trudności. Do pracy szliśmy bez względu na pogodę. Tylko wtedy, gdy temperatura dochodziła do 40 stopni, nie wyprowadzano nas poza obóz. Na czym jeszcze polegała nasza praca. Na wyładunku wagonów z węglem, z drzewem, z wielkimi balami, z kamieniami i wielkimi głazami, które musieliśmy wyładowywać. Ze względu na to, że nie było tam drzew, wszystko przywożono. Nie było również żadnych upraw z wyjątkiem tak zwanego turnepsu. To było coś w rodzaju rzepy. W okresie lata polarnego mogło rosnąć tylko to, co miało krótki okres wegetacji. Kartofli nie widziałśmy tam w ogóle. Kartofle przysyłano tylko dla obsługi obozów dla żołnierzy i dla wolnych. A nam nieraz dawano coś w rodzaju kartofli: to były kartofle suszone i jak się ugotowało, to przypominało to taki ciemnobrazowy klej. Bardzośmy tęskniły właśnie za kartoflami, ale niestety dopiero po siedmiu latach pierwszy raz - w Kazachstanie już - jadłam kartofle. Karmiono nas przeważnie owsem. Owsiana była zupa i kasza była owsiana. Nie był ten owies dobrze oczyszczony,

tak że trzeba było ciągle wypluwać łuskę, toteż nazywaliśmy to jedzenie "Zuj-pluj". Była również kasza trochę przypominająca naszą jaglaną kaszę, z tym że o zupełnie innym smaku. Bywało czasem, że dawali nam kawałeczki mięsa reniferowego. Bo tylko takie było dostępne tam, za polarium. Nawet jeden raz mieliśmy mięso z wieloryba, było ono bardzo tłuste, przypominało słoninę. Nie każdy mógł to jeść i wtedy zrobiono nam z tego kotlety, które były naprawdę bardzo smaczne. Ze względu na brak witamin w pożywieniu, które nam dawano i na panujący i szkorbut i cynamę, kazano nam przed posiłkiem, a szczególnie przed obiadem wypijać choćby wywaru choinkowego. Było to bardzo niesmaczne, ale konieczne. Mimo nawet picia tego wywaru wiele osób chorowało na zębienie. Picie tego nie zawsze odnosiło pożądany skutek. Ale nie można się było od tego wykręcić - po prostu nie dawano wtedy jedzenia. A bez jedzenia przy takich mrozach i przy takiej ciężkiej pracy po prostu traciło się siły. Trafiało się wtedy do szpitala, gdzie starali się troszeczkę odkarmić, bo siła robocza była potrzebna. W ogóle chciałam zaznaczyć, że różnica między obozami niemieckimi a radzieckimi była tylko w tym, że w radzieckich nie było krematoriów. Tam zależało im na tym, żeby człowieka wyeksploatować przy ciężkiej pracy. Żeby ten socjalizm i komunizm zbudować właśnie naszymi rękoma. Nieraz słyszeliśmy, jak mówili, że komsomolcy wyjeżdżają na budowy, budują miasta. A tymczasem byli to komsomolcy z numerami na plecach. Tak było na całej północy i nie tylko północy - prawie w całym Związku Radzieckim była masa tych obozów. Jak jechałyśmy na północ to był obóz przy obozie. Co jeszcze mogłabym o tym powiedzieć...

- Może coś o błatnych, świecie przestępczym...

- Pobyt z nimi w jednym obozie był bardzo ciężki. Pamiętam, że w początkowym okresie, jak podchodził etap do żony, do obozu, to tam stało już pełno mężczyzn i od razu sobie mówili: Ta będzie moja żona po prostu mówili, kto im się podobał. Jeszcze co: potrafili przegrać w karty, mogli nawet zabić, jak się założyli o coś (o to) i głowę za-

nieść na wachtę, do dyżurnych. Ale później wprowadzono za zabójstwo karę śmierci i wtedy skończyło się to. A jeszcze oddzielono nas do tych obozów reżymowych. Nieraz się stykałam z nimi i każde spotkanie było bardzo ciężkie. Pamiętam takie przypadki: jeżeli któraś zaczynała, jak to się nazywało tam, kręcić z kimś...Np. błatnoj sobie zaznae czył mnie na swoją żonę. Ja się na to nie zgadzam. I jeżeli nie używam sobie z kim innym to on mnie nie ruszy. Ale jeżeli pozwoliłabym sobie na tzw. kręcenie z innym mężczyzną - to wtedy mógł mnie zabić. Pamiętam w jednym ze szpitali - właściwie to był san-garadok, był jeden z przywódców tych błatnych, któremu po prostu podobałam się. Ale nigdy mnie nie skrzywdził. Prosił, żebym mu śpiewała, żebym mu coś opowiadała. Tylko jak był etap, on nie chciał wyjechać z tego san-garodka, to sobie przeciął brzuch, pokaleczył się, sądząc, że go zostawia. Ja się strasznie bałam tego, żeby on nie został. Jednak go zabrali, zrobili mu opatrunki, zabrali go do innego obozu.

Jeszcze będąc na Workucie pracowałam przez pewien okres w żłobku dziecięcym, gdzie były dzieci więźniarek. To była duża sala, pracowało nas dwie w t j sali; z jednej strony sali było 19 łóżeczek i z drugiej też. Dzieci były od dwóch tygodni do roczku. Pracowałam na nocnej zmianie, przez 12 godzin. Zaczynałam przewijać te dzieci od pierwszego, dochodziłam do dziewiętnastego - i trzeba było zaczynać na nowo. Więźniarki przychodziły tylko do karmienia dzieci. Ze względu na bardzo słaby stan zdrowia mojego w krótkim czasie zaczęły mi puchnąć nogi i wreszcie z tego żłobka trafiłam do szpitala. W tym szpitalu obozowym leżałam na gruźlicę. I jednocześnie w czasie pobytu tam zachorowałam na chorobę, którą trudno mi nazwać: to były ataki podobne do malarii, dostawałam strasznych dreszczy, bardzo wysokiej temperatury i absolutnie nie przyjmowałam żadnych leków, dlatego, że wszelkie leki, które dawano mi doustnie - momentalnie zwracałam. Organizm nie przyjmował. Utrzymywano mnie przy życiu tylko zastrzykami domięśniowymi. Ponieważ nie było szans, bym mogła wyjść z tej choroby, nie

ogolono mi głowy, żeby po prostu mnie nie denerwować, żebym się nie domyślała, że jestem skazana już na śmierć. Pamiętam jedną noc, kiedy czułam, że umieram. I bardzo przeżywałam to, że tam, na północy, nie rosną drzewa, nie ma ptaków, nie przyjdzie na moją mogiłę mama. I jeszcze był jeden powód, dla którego nie chciałam umierać : że przecie nie jeszcze nie zrobiłam dobrego, co by mogło po mnie zostać. Szczególnie zostać w pamięci ludzi. Okazało się, że była to noc kryżysu. Lekarka, która mieszkała za zoną obozu, czyli za obszarem obozu, bo była wolną, odchodząc wieczorem uprzedziła pielęgniarki, że tej nocy ja nie przeżyję. Jeżeli będę ciężko konała, to żeby ją wezwać. A jeżeli lekko, to żeby jej nie zawiadamiać nawet. Noc tę przeżyłam i następnego dnia zbliża się godzina ataku i raptem - ataku nie ma. Leżałam dość długo, uczono mnie później chodzić, bo nie umiałam chodzić. Wytrzymałam tylko dlatego, że byłam młoda i miałam jeszcze przed chorobą dość zdrowe serce. Po chorobie niestety już nie. Po wyjściu ze szpitala byłam w brygadzie inwalidzkiej ze staruszkami. I ze wszystkimi bardzo słabymi ludźmi, bo rozpiętość wieku była bardzo duża w obozie: od kilkunastolatków do siedemdziesięcio i osiemdziesięciolatków. Nieraz te stare niewiasty śmiały się, mówiąc, że mają 25 lat wyroku, więc mają jeszcze zagwarantowane tyle życia. Przecież muszą odbyć ten swój wyrok. W tej inwalidzkiej brygadzie, w tym baraku, było bardzo duże szczurów. W ogóle mieliśmy taki okres, że te szczury chodziły dosłownie stadami. Kradły nam wszystko: listy, pończochy, mydło - już nie mówiąc o jakimkolwiek jedzeniu. Swoje worki z rzeczami wieszaliśmy na sznurkach, prawie u sufitu, żeby one nie mogły się tam dostać. Ale to były bardzo cyrkowe szczury. Na narach zakrywałyśmy się z głowami, bo one dosłownie po nas biegały. Ja przeważnie tym staruszkom przynosiłam kolację. Brałam kubeczki, szłam do stołówki i przynosiłam. One nie musiały dreptać tam wtedy. Za to one mi rano przynosiły śniadanie, żebym mogła sobie dłużej pospać. I pewnego razu miałam taki przypadek: Siedziałam i jadłam z kubeczka przyniesione śniadanie. A te szczury były tak do na przyzwyczajone, że bez-

czelnie sobie siedział przede mną i patrzył się na mnie. Zdenerwowałam się i kopnęłam szczura. I rano z moich kapci przysłanych mi przez matkę zostały tylko podeszwy. Zjadły wszystko. Zemściły się w ten sposób. Radzono nam jak się pozbyć szczurów : trzeba szczura złapać, oślepić, potem go podpalić - on będzie uciekać i wszystkie szczury za nim polecą. I zaczęło się polowanie w tym baraku na szczura. Te starsi niewiasty udawały myśliwych. Było wiele takich śmiesznych sytuacji różnych, ale już nie pamiętam, czy nam się udało tego szczura złapać. A niektórzy mówili jeszcze inaczej : złapać szczura, nasypać mu soli na ogon i rzekomo też wszystkie szczury za nim pójdą. Była to plaga w całym obozie. Więc co zrobiono. Jednego dnia nie dano nam przydziałów chleba, założono trutki w naszym chlebie i wytruto po prostu te szczury. Nie tylko ze szczurami żyliśmy na codzień, ale z wszami, pluskwami, pchłami. W jakiś sposób starano się to zlikwidować, szczególnie w okresie lata północnego: Musiałyśmy wynosić rano nasze nary do olbrzymiego kotła, w którym była wrząca woda i tam się zanurzało te nary. Potem one cały dzień stały tam, a wieczorem, wróciwszy z pracy, zabierałyśmy swoje nary i kładłyśmy się na nie. Następnego ranka historia znów się powtarzała. I tak było przez dość długi okres i w pewnym stopniu udało się ograniczyć ilość, szczególnie pluskw i wszy. Bo musiałyśmy nieraz spać w ten sposób, że w włożyłyśmy do siennika do środka. Jedną drugą zawiązywała tu, przy szyi, żeby nie gryzły chociaż w tułów.

W obozie były tzw. monaszki czyli zakonnice Rosjanki. Pod wpływem prześladowań i wiary i wogóle ich prawa do wyznawania Boga, dochodziło do pewnych takich zbroczeń. Na czym to polegało: uważały władze obozowe za szatanów, nie przyjmowały ubrania więziennego, były przypadki, że pędzono je nago po obozie, chcąc w ten sposób zmusić do przyjęcia ubrania. Ale one nie dały się do tego zmusić. Były przechowywane raczej w ziemiance i pamiętam, że pewnego razu wracając z nocnej zmiany usłyszałam przepiękny śpiew. Dosłownie śpiew

podobny do muzyki organowej. A to one modliły się i śpiewały na głosy. Miałam taki przypadek, że jedna z nich, młodziutka dziewczyna, leżała ze mną w szpitalu. A wtedy właśnie wyszło takie rozporządzenie, że za posiadanie przez więźnia noża, jeżeli go znaleziono - dopisywano jeden rok wyroku. Natym rozporządzeniu trzeba się było podpisać, że wiemy, jesteśmy zawiadomione. Ta chora dziewczynka nie chciała tego podpisać, a była w bardzo ciężkim stanie. Wtedy nadzieratiel założył jej kajdanki, ale tzw. kajdanki uciskowe, które przy najmniejszym ruchu jeszcze bardziej się zaciskały. I wtedy jej ręką podpisał w tych kajdankach. Dosłownie swoimi dłońmi. Potem więźniarka ta zmarła. Zresztą sprawy wiary były bardzo ważne w obozie. To nam pozwalało przetrwać. I inne narodowości, szczególnie Rosjanki i te, które nigdy nie zetknęły się z wiarą, w Związku Radzieckim, bardzo nam zazdrościły właśnie tego - zazdrościły nam tej wiary. Bo mimo ciężkich warunków, było nam o wiele lżej to znosić. Nieraz przysłuchiwały się, jak się modlimy, chciały być chociaż blisko nas wtedy. Jak urządzałyśmy jakieś święta, czy Boże Narodzenie, czy Wielkanoc, nawet w tych ciężkich warunkach starałyśmy się, żeby te dni się ~~nie wyróżniały wśród tych dni naszych obozowych, szarych, obozowych~~ nkolwiek wyróżniały. Żeby się różniły od szarych, obozowych dni. Na przykład dawano nam coś w rodzaju kaszy i do tego wlewano taką małą, jak ^{pa} naczestek, miareczkę oleju, to myśmy podstawiwały jakieś pudełeczko lub jakiś słoiczek, żeby zbierać ten olej na naszą wigilię. Oszczędzałyśmy też w ten sposób, że rybę, daną nam nawet dwa dni wcześniej, zostawiałyśmy na naszą wigilię. Było również takie niepisane prawo obozowe, a odnosiło się ono do przydziałowej pajdki chleba. Była to w obozie rzecz święta: można było wszystko ukraść więźniowi - ubranie, jedzenie przysłane w paczce, ale nie można było ukraść tej przydziałowej więziennej pajdki (?) chleba. Bo za to groził samosąd więźniów. Śmierć. Janie znam takiego przypadku, żeby nawet błatnyje kradli tę podstawową pajkę chleba. Ale jak dostałeś pa-

czkę, mogli ją ukraść, dosłownie zabrać i nie miałeś prawa się skarżyć, dlatego że wtedy mogli jeszcze i pobić, czy okaleczyć.

Pobudkę mieliśmy w obozie o godzinie piątej, z obozu się wychodziło o godzinie szóstej. Za każdy razem była rewizja. Po wyjściu z obozu była komenda : Pod ruki wziatsia? Czyli szliśmy piątkami, trzymając się pod ręce. I jeszcze były słowa: Krok w prawo lub krok w lewo uważam za ucieczkę i używam broni bez uprzedzenia. Nie można było zdenerwować tych konwojów naszych, bo oni mieli prawo w największą kałużę położyć całą brygadę. Albo: Stój - padnij, stój - padnij! Wszystko zależało od ich widzimisie. Po przyjsciu na miejsce pracy wyznaczano tak zwaną zapretną zonę, pewien obszar wytyczony jakimiś kołkami, poza obręb którego nie można było wyjść. I wtedy zdarzały się nieraz wypadki tragiczne. A szczególnie kiedy. Przecież ci ~~mieli~~ żołnierze, którzy nas pilnowali, to też byli młodzi mężczyźni. Nieraz podobały im się więźniarki, to przecież były niewiasty wszystkich narodowości, jakie są w Związku Radzieckim. I w różnym wieku. Były bardzo młode i były bardzo ładne. Więc taki konwój chciał sobie też kreć z taką więźniarką. Mieliśmy taki przypadek, że się nie zgodziła na to i on chciał się na niej zemścić. I właśnie w czasie pracy. Wyszła poza ten wyznaczony plac. I ona umierała na oczach innych więźniarek i nie pozwolił do niej nikomu podejść. Miała dziecko w żłobku, bo - nie pamiętam już czy była aresztowana z tym dzieckiem maleńkim - w każdym razie jedna z naszych Polek prosiła, żeby oddali jej to dziecko, ale niestety, władze nie zgodziły się i wywieźli dziecko w głąb Rosji.

W tym żłobku dzieci były przechowywane do lat dwóch, a później odbierane matkom. Był widok straszny wtedy. Te matki rozpaczały, dosłownie nieludzkim głosem wyły, jak im odbierano, wrywano te dzieci. To była jedna z najcięższych chwil w obozie. Po wyjściu z obozu, czyli

po skończonym wyroku, matki miały prawo zabierać swoje dzieci, jeżeli udało im się je odnaleźć. Miałam wypadek właśnie w naszej bliskiej rodzinie. Dłtyczyło to męża mojej siostry. On był aresztowany jako 15 letni chłopiec z ojcem, bo byli w lesie i dostali obaj po 25 lat, w domu była matka z młodszym, 6 letnim braciszkiem. Przyszli, aresztowali matkę, a zostawili na podwórku to sześciolatnie dziecko. Bez żadnej opieki. Po prostu zajęła się tym dzieckiem któraś z sąsiadek, a potem wywieziono je w głąb Rosji. I ta matka po ośmiu latach dopiero odnalazła to swoje dziecko, był to już czternastoletni chłopiec, który był wychowany wiadomo jak : w domach dziecka wychowywali bez Boga, bez znajomości, ma się rozumieć, ojczystego języka. Ale matka ta później repatriowana była do Polski z tym dzieckiem, skończył on już szkołę polską - i maturę i studia - tutaj i jest marynarzem w Swinoujściu. Na pewno ten dom dziecka zostawił pewne ślady. Było bardzo trudno nawiązać z nim jakąś więź uczuciową tej matce. Bo to dziecko chorowało na sierocą chorobę. Teraz jest już prawie że normalnym człowiekiem, ale w jakim jest wieku... Jest to człowiek dorosły, ma dorosłe dzieci, i ma już nawet wnuki.

Problemem w obozie było też to, że przecież byłyśmy młode. Skazane byłyśmy na wyroki po 25 lat. Jasne, że żywy organizm ludzki ma swoje wymagania. Ze każdą z przyjemnością spotkałaby mężczyznę, porozmawiałaby z nim, gdyby to było możliwe. To było zabronione. Po oddzieleniu mężczyzn od kobiet w obozach, możliwość taka istniała tylko wtedy, gdy się było poza obozem w miejscu pracy, gdzie również pracowali mężczyźni. Pod wpływem głodu wrażeń z tej dziedziny, dochodziło nieraz do zboczeń. Dochodziło w obozach nawet do lesbijskiej miłości, między kobietami. Były również przypadki - ale rzadkie - że niewiasty grupowo gwałciły mężczyznę, jeżeli wpadł im w ręce. Szczególnie tutaj chodzi o kryminalistki. Bo takiego przypadku wśród politycznych nie pamiętam. Co do moralności w obozie... Były przypadki i wśród Polek, że dawały się ponieść jakimś tam uczuciom

i związkom z mężczyznami, ale w porównaniu do innych narodowości, były to raczej wypadki rzadkie. Czym to tłumacze? Tym, że między nami, Polkami były niewiasty starsze, o wysokim poziomie moralnym i one nas, młode, po prostu powstrzymywały od tych rzeczy. Pilnowały, ochraniały. Nawet gdyby była chęć ze strony którejs z młodych dziewczynek, żeby sobie na coś pozwolić, to ona się czuła skrepowana jednak obecnością tych innych Polek. Liczyła się z tym, że to może przecież wyjść poza obóz. Powstrzymywała nas też od tego wiara. To znaczy, na pewno nie było to lekkie, to była wieczna walka ze sobą, ale przeważnie się tę walkę wygrywało. Zależało to od poziomu etycznego - raz, od temperamentu - dwa. Wszystko miało znaczenie. Jeśli ktoś jakiejś wycieńczonej i zapracowanej kobiecie czy dziewczynie ofiarować jakąś pomoc, to też miało wielkie znaczenie. Bo niestety, przecież był pół-głód. To znaczy w tym okresie, w którym ja byłam - to już było po wojnie, to już był rok 48. Ale jeżeli wziąć te lata w czasie wojny, to było strasznie. I te pierwsze po wojnie. Myśmy miały o tyle lepszą sytuację, że przyjeżdżając do obozu już miałyśmy ten barak czy tę ziemiankę, w której się mieszkało. Bo mieszkałyśmy również w ziemlankach. Były również ciężkie warunki, bo w pewnym okresie politycznych, którzy mieli po 25 lat, na noc - w ogrodzonym przeciętnie obozie - zamykano i musieliśmy korzystać z tej paraszy wtedy. Nie wolno było wyjść poza barak. A przecież w takim baraku czy w takiej ziemiance było po kilkaset osób. Były podwójne nary i była taka cianota, że jeżeli w nocy się wstało, to momentalnie to moje miejsce znikało. Bo jasne, że we śnie te ciała przy zmianie pozycji przez sen - zsuwają się od razu. To takie były spłasznyje nary. Góra była zawsze spłaszajaca. Było bardzo mało przypadków, żeby górne nary nie spłaszniak. Były, poszczególne nary. Ale to tylko dla tych, tzw. przydurków, arystokracji obozowej, którzy byli na stanowiskach. A poza tym to wszystko był spłaszniak, i wtedy powracając na to swoje miejsce, trzeba było po prostu padać na swoje miejsce, żeby ciężarem swoim rozsunać inne ciała. W Moskwie, w tym więzieniu w Krasnej Pre-

sni, gdzie byliśmy miesiąc, spałam na górnych narach, a nade mną była żarówka, której się w ogóle nie gasiło - ona się paliła dzień i noc. To było strasznie męczące. Przecież to przeszkadza człowiekowi w spaniu, jak takie światło się pali.

Mieliśmy również w obozie przypadek pewnego rodzaju samobójstwa. Jedna z Rosjank z naszej brygady została aresztowana i w domu została matka staruszka. Nikogo więcej nie było. Ona wiedziała, że matka nie przeżyje tego, że ona jej już nigdy nie zobaczy. Oprócz tego była ona bardzo chora na uszy. Nie chcieli jej dać zwolnienia z pracy i posłać do szpitala. Wtedy ona z tej rozpacz - poszła na druty. Strażnik na górze krzychał, żeby się cofnęła, ale ona uknęła koło tych drutów i krzychała: Strzelaj! - Wtedy on puścił w nią serię w okolice brzucha. Wzięto ją do szpitala obozowego, zrobiono operację, ale jak tylko obudziła się, pozrywała opatrunki i niestety zmarła. A miała wtedy lat 20 może, 22. Od tego czasu nam w barakach założono kraty i zamykano na noc w barakach, wstawiano paraszę. Bo był to barak politycznych, dwudziestopięciolatek. Inne baraki, z innymi wy-
~~razami były zamknięte na noc.~~ rokami nie były zamknięte na noc.

- Opowiedz w ogóle o problemie odporności psychicznej, o ostatecznych załamaniach się.

- Było dużo wypadków samookaleczeń, bo niektórzy nie wytrzymywali tego fizycznie. Były przypadki ostatecznego załamania się, tym bardziej, że mieliśmy przecież psychicznie chorych i mieliśmy oddziały szpitalne dla psychicznie chorych. Ci ludzie, którzy mieli jakąś łączność z domem, czy w postaci paczek, czy listów, mieli jakieś oparcie w tym. Wiedzieli, że mają dla kogo żyć. Ale ludzie, którzy absolutnie nikogo nie mieli, bo były pozabierane całe rodziny, a nie zezwalano na to, żeby matka była z córką w obozie (oprócz te matki wiedziały, jakie są warunki w obozie, bo też były w takich samych obozach) - załamali się. Te rozłąki nieraz były powodem załamania. Rozpacz. Oprócz tego chciałam ci powiedzieć jeszcze jedną rzecz - może to się wydać śmieszne. Wielkie znaczenie w obozie miało tłumac-

czenie snów. Do mnie między innymi przychodziły takie staruszki i mówiły, że śniło im się to czy tamto, że miała długie włosy, takie czy inne buty - i ja poprostu z litości tłumaczyłam te sny. Tak im namieszałam, że zawsze ostatecznie wychodziło na dobrze. "To że ci się śniły te buty, to niezbyt dobrze, ~~ale~~ (bo to będzie etap), ale to że ty miałaś długie i śliczne włosy, to będzie dość długa podróż, jeżeli to jasne włosy, to może to będzie nawet podróż do domu, może cię zwolnią". I w ten sposób tłumacząc, starałam się je podtrzymać na duchu. Mimo że byłam najmłodsza wiekiem z nich, tam, byłam lubiana. Bo nawet w obozie starałam się być wesoła. One mi przypominały moją matkę, a ja im córkę. Więc było raz tak, że jałam byłam w takiej inwalidzkiej brygadzie, to wszystkie niewiasty ponazywałam żydowskimi imionami i sama się tak nazwałam. I one później nie reagowały na swoje imiona, tylko na te przezwiska żydowskie. Albo bywało tak, że jesteśmy w pracy, za zoną i jest silny mróz. One nie miały siły, żeby pracować, bo praca była ciężka: czy z łomem, czy z kilofem, trzeba było coś tam odbijać. I stojąc - marzły. Więc ja znienacka podchodziłam do jednej, przewracałam ją, potem drugą, trzecią i cała wielka kupa powstawała z tych babuszek takich poprzewracanych. Nim się one wygranolikły i stanęły na nogi - już się rozgrzały. Ale różnie było. Przecież była i taka praca, żeśmy musiały wypilowywać takie olbrzymie tafle lodowe na rzece. Do czego to było potrzebne. Budowaliśmy tzw. owoszcze-chraniliszcze. To była taka specjalna olbrzymia lodówka, obsypywana później trocinami, na to jeszcze chyba szła ziemia, żeby utrzymać utrzymać tam tę bardzo niską temperaturę, bo tam trzymano mięso z reniferów. Żeby ciągle nie musieć przywozić. Pracowałam w takiej brygadzie transportowej, gdzie nas zaprzęgano do sań i myśmy na sobie wszystko musiały wozić. To już było w innym obozie, w obozie prawie całkowicie inwalidzkim, do którego wywieziono mnie z Workuty. Obóz ten był w miejscowości Abieś, a słowo to w języku Komi znaczyło przepaść. Wywieziono mnie tam w celu leczenia. W obozie na Workucie, wśród pracowników zdrowych pierwszej kategorii, ja się liczyłam jako inwalida

którego trzeba leczyć. Ale jak przyjechałam do Abizu, gdzie były ka-
lekcie niewiasty: o kulach, albo bez nogi, albo bez ręki, i w ogóle
takie już, jak to się mówi po obozowemu - dochadziagi, to ja, młoda
dziewczyna ale z rękoma i z nogami, byłam siłą roboczą. Ubiór nasz,
tam na północy składał się z watowanych portek, z fufajki krótkiej,
do pasa, na to szedł dłuższy buszłak, też watowy, walonki i czapka
uszanka. No i watowe rękawice. I bywały takie okresy, że ja na sobie
nie mogłam udźwignąć tego umundurowania. Przy wzroście 1m.65cm. ja wa-
żyłam 48 i pół kilograma. A byłam w brygadzie transportowej. Więc
koleżanki mi mówiły: Ty się tylko trzymaj za te sanie, żebyś nie upa-
dła, żebyś jakoś ten dzień przeżyła. Wyjeżdżamy ze stacji, wracamy,
chcemy odpocząć. Mówią: Nie, odpoczniecie za obozem. Wyjdziemy za o-
bóz, prosimy konwoja, żeby pozwolił nam odpocząć, to on mówi: Nie,
po co macie tu odpoczywać, odpoczniecie w stacji, jak przyjedziecie.
I tak było ciągle, że tego odpoczynku nie było. I ja, zamiast popy-
chać te sanki, to się musiałam ich trzymać, żeby nie upaść. Czyli
ze mnie nie było żadnej korzyści wtedy. Byłam raczej ciężarem dla
tych, co ciągnęły. Ale innego wyjścia nie było. One z litości tolero-
wały moją obecność w tej brygadzie. A potem znów dochodziłam do tej
tzw. dystrofii i stawałam się dochadziagą. I lądowałam w szpitalu.
Na kolejne leczenie.

- Łagry były narodowościwą wieżą Babel. Czy możesz jakoś schara-
kteryzować poszczególne grupy narodowościowe?

- Tak. To znaczy w pewnym sensie. Mogę tylko powiedzieć, że prze-
stawicielki wszystkich narodów Związku Radzieckiego były w naszym
obozie. Była nawet Angielka. Byli Chińczycy, przeważnie zatrudnieni
w pralniach. Co do niewiast, to najbardziej chyba odporne i najbar-
dziej wytrzymałe były Ukrainki i Rosjanki. Wyglądały może na bardziej
syte, czy okrągłe. Ale to było złudne. One po prostu potrzebowały
dużo zjeść a te nasze posiłki były bardzo mało kaloryczne. Nie można
było w żadnym wypadku dostać "drugiego dania", powtórki, przypusćmy.

Jeżeli udało im się uprosić dodatkową porcję zupy, te tzw. białandy, i one ją zjadały, to objętościowo było dużo, ale nie zaspokajało głodu. Więc one tylko tak wyglądały, że miały te figury "i z przodu i z tyłu". Estonki były delikatniejsze i słabsze, i bardziej kulturalne jednak, one się tym wyróżniały. Było dużo również Litwinek. Wydaje mi się - chyba nie przesadzę - że Litwinek było tam chyba z 50 proc. całej populacji litewskiej. Całej ludności. Tak wielkie ilości ich były. Dużo było Łotyszek, w ogóle dużo było więźniarek z republik nadbałtyckich. Było nawet sporo Żydówek, były i takie. Było wśród nas duże więźniów tych, którzy byli na froncie. I tylko dlatego, że będąc w niewoli, nie zginęli, że popadli w ogóle w niewolę, byli potem przywożeni dosłownie z frontu do obozu. Byli nawet bohaterowie Związku Radzieckiego. Też w obozach... Jak się jednego z nich, który miał 25 lat, pytałam, jakim cudem on tu trafił, będąc bohaterem Związku Radzieckiego, to mi odpowiedział, że za to, co on dobrego zrobił to dostał medal. A za to, że się oddał do niewoli - 25 lat. Zaskugi to było coś bardzo problematycznego, w ich rozumieniu. Mieli obowiązek ostatni nabój sobie przeznaczyć i umrzeć bohatersko z imieniem Stalina na ustach.

Chciałam jeszcze nawiązać do mojego pierwszego etapu międzyobozowego, czyli przewiezieniu mnie z Workuty do Abisu. Abis był uważany za taki obóz -szpital. I powieźli nas tam leczyć. Między innymi te monaszki. W wagonach one nie spały na narach, tylko pod narami. W czasie podróży, jak mieliśmy apele, to trzeba było przecież przeliczyć tych więźniów. One się nie ruszały spod tych nar, to wtedy brały je za ręce, za nogi, i z wagonu wyrzucali na zewnątrz. W ten sam sposób załadowywano je z powrotem. Wieziono nas na etapy zawsze w okresie zimowym. Tłumaczyli to tym, że człowiek w tym okresie najlżej znosi zmiany klimatu. Jak jest zima i mróz. Jakie to były warunki? Towarowy wagon, nary drewniane, na środku piecyk, jeden na cały wagon, ze 60 osób z rzeczami w jednym wagonie, czyli ciasnota straszna

Jeżeli ten etap był na niezbyt dużą odległość, to jeszcze wtedy łatwiej się to znosiło. Ale jeżeli był wielodniowy, to było strasznie ciężko. Na etap dawano nam przeważnie śledzię, chleb i cukier. Śledzie były nie wymoczone, człowiek z głodu je jadł, żeby zaspokoić głód, ale się chciało pić. A z tym pić to było bardzo różnie. Jeżeli brakowało wody, to człowiek podwójnie cierpiał. To straszne pragnienie... Wieźli nas do tego Abizu, wyładowali dość daleko od obozu. A to przecież byli ludzie chorzy. Ale oni się tym absolutnie nie przejmowali, żeby podstawić jakieś podwozy, jakieś sanie, żeby można było choć rzeczy położyć. Abiz od Workuty nie jest daleko, ale te pociągi jeżdżą bardzo różnie, bo pierwszeństwo mają nie pociągi z więźniami, tylko te kursujące z wolnymi. A nas mogli postawić na kilka godzin, potem podwiozą kawałek i znów jest przystanek, znów podwiążą... Nie pamiętam, ile to trwało, w każdym razie nie był to taki długi etap, jak ten, który przeżyłam, przejeżdżając z północy do Kazachstanu, aż do Azji. Ale to później. Chciałam teraz tylko powiedzieć, że one były bardzo, bardzo uciążliwe. Z tego miejsca, gdzie nas wygruzono, do samego obozu w Abizie było jeszcze sporo kilometrów. A myśny były chore, ja nie dawałam rady nieść tego worka na plecach, tego swojego majątku (dieriewiannyj czamadan), przecież człowiek musiał cały swój dorobek zabierać. Nie było tego wiele, ale przecież to wszystko było na wagę złota - każda szmateczka, każdy skrawek czegoś. I wyobraź sobie, że tylko podwieźli te, które w ogóle nie mogły chodzić. Przysłali potem z obozu jakieś sanie. A ja musiałam iść, a że nie dawałam rady nieść, to ciągnęłam po śniegu. Ktś mi dał kawałek sznurka jakiegoś i pomagał mi ciągnąć. Tak wyglądało. Przyszliśmy do obozu i tam warunki były o wiele gorsze niż w tych obozach na Workucie, tam gdzie były te brygady takie silne. Tam były już ziemianki. A jeszcze co robili z tymi niewiastami, które się już nie nadawały do żadnej pracy. Mieliśmy takiego naczelnika obozu, który kazał tym staruszkom zbierać kamyczki.

Jak już pozbierały wszystko, kazał rozrzucić i zaczynać wszystko od nowa. Taka namiastka pracy, żeby one przypadkiem nie były bez jakiegoś zatrudnienia. To przecież nie miało absolutnie żadnego sensu. Ale prikaz był prikaz i to robiły. Teraz chciałabym powiedzieć o pracy w tych wszystkich trzech obozach i rodzajach tych prac. Będzie to Workuta od 1949 do 1950 roku, Abiz - 1951 - 1953 i Inta - 1954 do lutego 1955 roku.

Norma pracy dla kobiety i mężczyzny była jednakowa. Wyżywienie również. Jakie były prace: Rozładunek wagonów, przychodził węgiel, drzewo, żwir, kamieniei inne materiały. Budowaliśmy również kolej żelazną, wykopy pod fundamenty robiliśmy, wymieniano kanalizację i budowaliśmy również fundamenty, przeprowadzali pracę przy zakładaniu centralnego ogrzewania. Wozikam taczka zaprawę betonową. wytorfowywałyśmy tereny pod budowę, warstwa torfu była dość duża. Tynkowałyśmy ściany ziemianek i baraków, kosiłyśmy w wodzie trzcinę, nosiłyśmy na duże odległości duże ładunki, właśnie między innymi tę trzcinę na budowę schroniska dla psów, które pilnowały więźniów. Piłowałyśmy dużych rozmiarów tafle lodowe. Używane one były do budowy takich lodówek, pracowałyśmy również w transporcie. Na czym to polegało: nie ~~wieci~~ używano samochodów - nie wiem, czy oszczędzano paliwa, czy żeby nas używać jako zaprzęg, wykorystać. Zaprzęgałyśmy się więc do saní i woziliśmy całe wyposażenie obozowe i zaopatrzenie. Woziliśmy węgiel, żywność, materiały budowlane. Dostarczałam wodę, którą wozikam koniem, a później wołem, który miał chore kopyta. Na czym to polegało: że jak śpiewałam, to on szedł. Wozikam przeważnie w nocy. Były to te białe noce - obóz spał. Pracowałam również w takiej pracowni krawieckiej, gdzie wyszywałyśmy firanki, obrusy, pościel, a to wszystko robiłyśmy dla wolnych i dla obsługi obozowej. Oczyszczałam doły kloaczne, wywoziłam fekalia. Wylewało się je na takie poletka, a jak zamarzły to się łomem albo kilofem rozbijało, ładowało później na sanie i wywoziło poza teren

obożu. Oczyszczaliśmy również studzienki kanalizacyjne. I pamiętam jeden taki przypadek, że w takiej studziencie była żaba, a do żab czułam uraz. Ze względu na to, że moja silniejsza ode mnie koleżanka była chora na serce i nie mogła pracować w tej studziencie, ja się zgadziłam na to, żeby tym pójść. Cały problem był, jak usunąć stamtąd tę żabę. To było w lecie, ona wpadła do tej studzienki i nie mogła się stamtąd wydostać. Chyba nie mniej się bała ^{jak} niż ja. Jakimś cudem udało mi się ją zapędzić do wiadra i przy wyciąganiu tego wiadra ona ponownie wskoczyła do tej studzienki nad moją głowę. Komotało mi serce tak, jakby przynajmniej wybuchła bomba albo granat wybuchł. Ale umiałam się na tyle opanować, że jednak tam wytrzymałam i pracę swoją wykonałam. Wykonywałyśmy jeszcze różne prace porządkowe w stołówkach wojskowych i w innych pomieszczeniach. Było to szczególnie mycie podłóg. To była dość ciężka praca. Wynoszenie tej brudnej wody na zewnątrz, na mróz, było niebezpieczne, bo mogłyśmy się przeziębic. Więc wymyśliłyśmy inny sposób: przebijało się gdzieś dziurę w podłodze, między spoinami tych desek - i spuszczało się takimi specjalnymi szwabrami. Było to coś w rodzaju takiej szczotki na kiju, tylko zamiast szczotki była przybita guma. Tym ściągało się wodę do tych dziur i ona sobie płynęła do fundamentów. Nieraz było sprzątanie różnych pomieszczeń po remontach.

Przerwami w pracy były choroby, którym ulegałam ż w ciągu tych ośmiu lat, i pobyty w szpitalach. Będąc w obozach i na zesłaniu prawie dwa lata przeleżałam w szpitalu. Początek chorób był w więzieniu w Brześciu, to był początek gruźlicy płuc. Na Workucie była już gruźlica i febra. Nie wiem, czy to była malaria, czy febra, ale w każdym razie objawy były właśnie takie. Pamiętam, że dawano mi chininę, od której żółkło ciało. Ze względu na to, że byłam już raczej skazana na śmierć, nie ostrzyżono mi włosów. Ale , o dziwo, przeżyłam tę chorobę. W Abizie, w San-garodku, leżałam również na gruźlicę i byłam operowana na gangrenę ślepej кишки. Mówiłam, jak mnie wieziono? Chyba ra-

ozen nie. Trudno się było dostać do tego szpitala obozowego. Były przypadki, że udawano choroby. Nikt się specjalnie nie przejmował tym, czy moim przypadku to była prawda, te ataki ślepej kiszki, czy oszukiwanie władz. Byłam tak przetrzymywana prawie trzy doby w obozie. Jednocześnie byłam badana przez lekarza - Żydówkę, badana ginekologicznie, czego ona w zasadzie nie miała po prostu prawa zrobić ze względu na to, że ,jak później stwierdziła sama - byłam dziewicą. Wywieziono mnie samochodem ciężarowym do tego szpitala już w bardzo szybkim tempie (na drewnianej mojej walizce), ja nie wyobrażałam sobie , że grozi mi już operacja - nigdy nie byłam operowana- ale po zrobieniu analizy krwi okazało się, że stan jest krytyczny. Zgodę na operację podpisał lekarz, Polak. W czasie operacji był apel czyli przeliczanie więźniów i nawet na tej sali operacyjnej przechodziłam ten apel. Zoperowano mnie, była to gangrena ślepej kiszki. Operował mnie chirurg Niemiec, który miał również wyrok 25 lat (miał swoją klinikę w Berlinie).

W Incie miałam wypadek samochodowy w czasie ćwiczeń straży pożarnej. Należałam do tej straży, wydawało się wszystkim, że jest to praca najlżejsza, a ze względu na mój stan zdrowia, starano mi się pomóc po prostu przetrwać. Samochód przyjechał w czasie purgi i trzeba było skoczyć na stopnie drzwi koło kabiny samochodowej, w jakiś sposób włączyć się do tej akcji. Na stopień tego samochodu wskoczyła moja koleżanka i podała mi rękę. Niestety, pośliznęłam się i jedno z tylnych kół tego olbrzymiego wozu przydusiło mnie po prostu. Bo gdyby przejechało po mnie, to nic by po mnie nie zostało. W każdym razie w początkowej fazie utraciłam wzrok, który później odzyskałam, ale uszkodzeniu uległ kręgosłup lędźwiowy. Skutki tego odczuwam przez całe życie, niestety. Mimo przebytych chorób pracowałam przez cały czas w brygadach roboczych. Nigdy się nie dostałam na żadne jakies uprzywilejowane stanowiska.

Chciałam również powiedzieć o doksztalcaniu obozowym. Były

wśród nas starsze panie, Polki, z bardzo dużym doświadczeniem życiowym, z dużą wiedzą. Uczyły one nas, młodsze koleżanki, wszystkiego, co można było przekazać bez prowadzenia jakichkolwiek notatek, bo to było niedozwolone. Dokonywały tego przeważnie w czasie apelu, ze względu na to, że byłyśmy w różnych barakach i nie zawsze można się było odwiedzać. W czasie apelu stawałyśmy blisko siebie, wykorzystywałyśmy na to ten czas. Uczyłyśmy się na pamięć wierszy, wykladały one historię, polski, polską literaturę, znaczenie wyrazów obcych. Jednocześnie modliłyśmy się wspólnie, śpiewałyśmy, recytowałyśmy wiersze, jakie każda z nas mogła zapamiętać.

Jak wyglądały nasze kontakty z duchowieństwem: miałyśmy tylko dwa przypadki udzielenia absencji na odległość i jeden raz udzielenie Komunii Świętej przemyconej z męskiego obozu. Jak wyglądało udzielenie tej absencji: Po prostu zawiadano nas, że w brygadzie, która przyjdzie do naszego obozu, będzie kapłan i na odległość udzieli nam rozgrzeszenia. Jeden jedyny raz w czasie pobytu w szpitalu gruźliczym mogłam skorzystać ze spowiedzi, bo jako sanitariusz pracował tam biskup. Z tym że nie pamiętam niestety jego nazwiska. Był to Polak.

Jak wyglądała działalność kulturalna w obozie. Była ona możliwa już po śmierci Stalina w 1953 roku. Reżim w obozie zelżał. Już były przypadki, że przywożono filmy do obozu. Z kolei więźniarki wystawiały opery. Wystawiana była opera "Faust" Gounoda i wyjątki z opery "Jewgienij Oniegin". Sama brałam w tym udział. Wszystkie role obsadzone były niewiastami różnych narodowości, między innymi miałyśmy bardzo zdolną Ukrainkę, która miała przepiękny głos - kontralt tak niski, że przypominał brzmienie głosu męskiego i grała ona właśnie rolę Mefista.

Teraz jeszcze wspomnę o przeprowadzaniu rewizji w więzieniu. Były przeprowadzane w szczególnie poniżający sposób. Były to czasem rewizje osobiste - zupełnie nago - u badaniem nawet odbytnicy. Czy przypadkiem się czegoś nie schowało. Badania przed wysłaniem na eta

również były poniżające. Nie zawsze dokonywały ich kobiety. W komisjach przed etapem albo w komisjach, które miały na celu ustalenie kategorii zdrowia, brali udział mężczyźni, z tym że nie zawsze byli to lekarze. Wielką pomoc okazywali nam, Polkom, lekarze, sanitariusze i pielęgniarki - również Polacy. Starali się po prostu ratować najsłabszych.

Teraz opowiem o ostatnim swoim etapie, czyli o wyjeździe z Komi SSR, konkretnie z Inty - do Kazachstanu w lutym 1955 roku. Wagony były towarowe. Miały potrójne nary, bardzo małą ilość paliwa, żelazny piecyk, beczka z wodą i przeważnie po 60 osób w wagonie. Z rzeczami. Było bardzo ciasno. Wieziono nas zawsze w okresie zimowym, w czasie największych mrozów, twierdząc, że to jest najlepszy okres do zmiany klimatu. A zmiana była olbrzymia, bo i odległości były bardzo duże. Wieziono nas przez 11 dni. Co było bardzo uciążliwe, to załatwianie fizjologicznych potrzeb ludzkich. Do tego służyło korytko, którego ujście znajdowało się na zewnątrz wagonu. Gdy zabrakło nam wody do zmywania tego korytka, po prostu wylot ten zamarzał i wtedy była tragedia. Cośmy wtedy robili... Nikt nas nie wypuszczał, żebyśmy mogli same oczyścić ten wylot, więc stukałyśmy w drzwi i stukałyśmy i krzyczałyśmy do wiozącego nas żołnierza: Naczalnik! Odkawyjaj sztykom! Czyli po prostu, żeby on nam pomógł przebić ten wylot. W czasie etapu brak było opieki lekarskiej. Były wśród nas chore niewiasty, zresztą etap ten był olbrzymi, cały pociąg był pełen więźniów, tak niewiast jak i mężczyzn. Miałyśmy przypadki ataków serca czy ataków epilepsji, więc stukałyśmy i krzyczałyśmy prosząc o przysłanie lekarza. Niestety, przeważnie nasze prośby kończyły się na niczym. Wówczas ogłosiłyśmy w naszym wagonie jako protest - głodówkę. Rezultatem tego było - nie wiadomo czy to było umyślne, czy przypadkowe - zamknięcie wylotu rury od piecyka, która wychodziła na zewnątrz wagonu. Częściowo uległyśmy zaczadzeniu. W innym wagonie znajdowała się moja koleżanka, która miała całe nasze jedzenie. Ja z kolei miałam naszą odzież. Rozdzielono nas. Ona cały czas prosiła o przeprowadzenie

mnie do jej wagonu ze względu na to, że po wyjściu ze szpitala po tym wypadku samochodowym byłam bardzo słaba, a ona po prostu opiekowała się mną. Jak przyszedł konwój po mnie do tego wagonu i otworzono drzwi, to stwierdzono, że nie byłam w stanie wyjść z wagonu. Śmiertelnego zatrucia nie było, z tym że chorowały koleżanki dość długo. Były wypadki zwracania, torsji, wymiotów i bólów głowy. Jechaliśmy, jak już wspomniałam, przez 11 dni. Po przywiezieniu nas do Kazachst^{an} stanu i wyprowadzeniu z wagonów, ujrzałam widok, którego do końca życia chyba nie zapomnę. Może kiedyś byłeś w grocie i widziałeś stalaktyty...Cały nasz ten pociąg był w stalaktytach z ludzkich odchodów, które mieniły się barwami tęczy...I w tym była też poezja... Jaki był klimat w Kazachstanie: Wybitnie kontynentalny. Noce były bardzo zimne, dni natomiast ciepłe. Chodziłyśmy do pracy w fufajkach, a w ciągu dnia musiałyśmy się rozbierać. Nieraz dosłownie pracując na polu, rozbierałyśmy się do tej naszej więziennej bielizny.

- A jaka była ta więzienna bielizna?

- Więzienna bielizna miała kolor ciemno-szaro-brunatny. Żeby po prostu mniej było znać ten brud. Była wymieniana co dwa tygodnie. Z tym że nigdy nie dostawałyśmy tej samej bielizny. Zgibierano jedną a dawano nam już zupełnie inną. To samo było z naszymi sukienkami. Z tym że tutaj to było troszeczkę uciążliwe, bo byłyśmy różnej tuszy i różnego wzrostu. Starano się jakoś zabezpieczyć, żeby sukienki wracały do właściwego więźnia. Albo też starałyśmy się załatwiać pranie we własnym zakresie.

W Kazachstanie były tzw. ziemie dziewicze. Były to stepy, które bardzo ładnie wyglądały wiosną, kiedy wszystko było zielone i kwitło. Ale ten okres był krótki. Potem następowały upały i susze. Wszystko wysychało i wtedy częste były przypadki pożarów, nawet samozapalania się. Ziemia pękała, tak że można było w szczelinę włożyć dłoń. Brak było drzew, drzewa tam nie rosły. Rosły tylko posadzone wzdłuż aryków - czyli kanałów służących do nawadniania pól.

Pola były zalewane i w tej wodzie sadzało się po prostu pomidory, ogórki i kartofle. Wtedy już nasze życie trochę się zmieniło, nie było takiego głodu. W naszej brygadzie chodowałyśmy ogórki, inna brygada miała pomidory, więc jeżeli konwój był dobry, pozwolił nam na zjedzenie tych owoców. Zresztą nie mógł upilnować całej brygady, żeby ktoś nie mógł zjeść tego ogórka czy pomidora. Było tam również wielkie zasolenie gleby. W czasie pobytu w Karagandzie pewnego dnia szłam i myślałam, że to jest szron na ziemi, a to błyszczała po prostu sól, która występowała na powierzchni.

Baraki w Kazachstanie nie były budowane z drzewa, tylko z gliny i nawozu. Brak było podłóg - były one również z gliny i nawozu. Tylko nary były drewniane. Odczuwaliśmy również brak wody, tak że często myłyśmy głowy i myłyśmy się w arykach, w czasie pracy na polach. Uciążliwością była obecność pajaków. Były tam tarantule. Od tego czasu nam uraz do wszelkich pajaków, nawet naszych krajowych. Do zaprzęgów używano wołów, ich odchody były wykorzystywane jako opał. Wysuszone. W tym obozie po raz pierwszy od siedmiu lat jadłam kartofle. Ale w jaki sposób zdobyłyśmy je: Była akcja wykopków, wykopywał te kartofle traktor. Każda z nas miała wyznaczony odcinek i musiała zdążyć zebrać kilka rzędów tych kartofli, zanim będzie wracał traktor. Jeśli przeszedł i przygniótł je, wgniół w ziemię, to nie można ich już było wyrwać. Bo ziemia była bardzo ciężka, gliniasta. Jasne, że każdy z tych więźniów starał się przenieść do zony trochę tych kartofli. Ale jak dochodziłyśmy do obozu, przed bramą była już sterta odebranych kartofli. Wtedy ja powiedziałam koleżankom, żeby kartofle, które miały przy sobie, wrzucały za kołnierz mojej sukienki. A że byłam bardzo chuda, po prostu nie było tego widać. Na plecach narzuciłam swoją fufajkę, trzymając w rękach poły, żeby wyglądało na to, że nie mam nic przy sobie. Strażniczka przejechała ręką po moich piersiach i brzuchu i nie przyszło jej do głowy, że mogę mieć kartofle na plecach. Po przyjściu do obozu rozwiązałam pasek tej mojej więziennej sukienki i posypały się kartofle.

Była to wielka radość, bo mielicznym to się tylko udało. Znalazłyśmy jakąś blaszkę od puszki po konserwach, przy kuchni, zrobiłyśmy gwoździem dziurki, i już w tej chwili nie pamiętam, czyśmy te tarte kartofle... czy gotowałyśmy jakieś kluski z nich, w każdym razie już sam fakt jedzenia kartofli po tylu latach, był już dla nas wielką przyjemnością. To chyba było coś w rodzaju pyzów... Na bramie za te kartofle nie karano, tylko je zabierano, bo musieliby ukarać prawie cały obóz. Raz w życiu ukradłam też dwie cebule. To było jeszcze na północy. I pamiętam jak dziś :zaprowadzono nas do tzw. owoszczehroniliszczka, gdzie były przechowywane kartofle dla wojska i ludzi wolnych. I tam była cebula. Więc wzięłam takie dwie cebule, a że miałam obszerne walonki, włożyłam je sobie pod stopę i na palcach przeszłam te kilka kilometrów. Udało mi się je przenieść do obozu. To była wielka frajda.

Teraz jeszcze opowiem o zmianach zachodzących w polityce i w tym naszym reżimie obozowym. Po śmierci Stalina odczuwałyśmy pewne zmniejszenie rygorów. Bo przecież byliśmy w obozach politycznych, o dość ciężkim reżimie. Miałyśmy prawo pisać listy tylko dwa razy do roku, w języku rosyjskim, na określonej wielkości arkusza i podlegały to cenzurze. Zresztą wszystko podlegało cenzurze, co wychodziło z obozu. Wtedy to zaczęto rozpatrywać nasze sprawy i stwierdzono brak uzasadnienia po prostu dla tych wyroków 25 letnich. Mówię teraz o naszej sprawie: Zdjęto mi 15 lat. Zostawało więc 10 lat wyroku. Wtedy wymyślono tzw. zwalnianie warunkowe po nienagannym przepracowaniu w obozie dwóch trzecich wyroku. Zastosowano to w stosunku do mnie. Byłam wezwana do posiołka, tam się odbył sąd i zwolniono mnie z obozu warunkowo. Na czym to polegało: usunięto mnie po prostu z terenu obozu. Dano nam do zamieszkania były instrumentałkę, czyli taki domek, w którym znajdowały się narzędzia. Usunięto je, dano nam żelazne prycze bez żadnej pościeli i tam musiałyśmy sobie stworzyć jakieś warunki, tak żeby można było wytrzymać przez pewien okres, do

chwili ustalenia, czy możemy wrócić do swoich domów, czy też czeka nas zesłanie. Nie miałyśmy żywności, żadnej żywności nam nie wydawano. Ale solidarność okazały nasze koleżanki z obozu. Przechodząc koło naszego domku brygady rzucały nam kawałki chleba, nieraz pilnujący je konwój pozwalał nam zjeść trochę zupy, którą przywożono brygadam na pole.

- Marysiu, dałaś mi do sfotografowania zdjęcia, gdzie cała brygada w odświętnych strojach pozuje, uśmiechnięta, raz nawet z konwojentem. Czy to z tego okresu?

- Tak, to jest z tego okresu, z tym że było to robione nieoficjalnie, nie miałyśmy prawa fotografować się, a przy obozie nie było fotografa. Ale moja koleżanka wyszła przede mną na wolność i mieszkała w Karagandzie. Ona to przywiozła ze sobą z Karagandy fotografa ubranie przemyciłyśmy z obozu na pole, gdzie pracowałyśmy, tam przebrałyśmy się i tam nam ten fotograf zrobił zdjęcie. To było jeszcze w obozie (zanim mnie uwolniono). Przypuszczam, że on wiedział, że to robi nielegalnie. Ta koleżanka później, po wywołaniu tych zdjęć w Karagandzie wzięła nasze adresy i wysłała te zdjęcia do naszych rodzin. A czemuż się uśmiechały? Bo przecież nie chciałyśmy martwić naszych, nasze rodziny, swoim wyglądem w strojach więziennych. Dlatego byłyśmy tam, można powiedzieć, dość ładne i uśmiechnięte. A musiałyśmy zrobić to zdjęcie z naszym konwojem, bo chodziło o to żeby on nas nie wydał. Był to już wtedy współnik przestępstwa. Różni ludzie byli wśród nich, nieraz trafił się naprawdę dobry człowiek. Zresztą, oni odbywali przecież służbę wojskową i nie mieli wpływu na to, gdzie ich pošlą. Nie wiem, czy to dla nich była karna służba.

W jaki sposób starałyśmy się jeszcze zdobyć pożywienie, szczególnie kartofle. Brygady pracujące w polu starały się niezbyt dokładnie ~~zbiierać~~ je zbierać. Po powrocie brygady do obozu my wychodziłyśmy na te pola i szukałyśmy kartofli.

- A gdyby was tam zastano?

- To było kradzione z rządów już wyoranych. A przecież myśmy były więźniarkami, czym nas można było ukarać...Oni przecież doskonale wiedzieli, że będąc już poza obozem, nie mamy żadnych środków do przeżycia. W pewnym sensie to była taka milcząca umowa.

W tym czasie moja mama starała się w generalnej prokuraturze Związku Radzieckiego o pozwolenie na mój powrót do domu, do Brześcia. Niestety przyszła odpowiedź odmowna. Pokazywałam tę pocztówkę z tej generalnej prokuratury. Przyszła decyzja, że mogę pójść tylko na zesłanie. Mogłam wybrać miejsce zesłania. Ze względu na to, że nikogo nie miałam na terenie Związku Radzieckiego na wolności (oprócz Brześcia), zdecydowałam się na pobyt w Karagandzie, gdzie miałam tę swoją koleżankę. Wieźli mnie znów drogą oficjalną - czyli tą czarną wroną, samochodem więziennym, przez punkt przesylny, gdzie znów się zetknęłam z więźniami kryminalistami i przypomniały mi się te wszystkie przeżycia. Miałam zebranych półtora worka kartofli i z tym też były przeboje, po prostu zabrano mi te kartofle. A to był mój jedyne majątek. Wtedy zrobiłam taki lament - a był on prawdziwy - jakby mi wymordowano całą rodzinę. Wreszcie ośdano mi te kartofle i razem ze mną powieziono je do Karagandy. Tam okazało się to wielką pomocą. Przy wyjściu w Karagandzie z tego samochodu więziennego czekała na mnie moja koleżanka Marysia ze swoim przyszłym mężem, Jankiem Szczotem. Chcieli mnie przywitać uroczyście i poczęstowali mnie jednym kieliszkiem alkoholu. Rezultat przedziwiał wszelkie oczekiwania. Nie przyszło im do głowy, że ja byłam zupełnie naczczo, nic nie jadłam a już było południe. Więc dosłownie speraliżowało mi język. Słowo mówiłam minutę. Jednocześnie nie byłam nietrzeźwa. Tylko niestety nie mogłam mówić. Oni to kwitowali śmiechem.

Na zesłaniu mogłyśmy jeść to, na co nas po prostu było stać. Kupowałyśmy sobie olej i chleb. Koleżanka była zatrudniona w takiej pracowni krawieckiej. I dostawała już wynagrodzenie. Ja niestety

pracy nie miałam. Mogłaby mi odpowiadać praca w jakichś stołówkach, ale że byłam chora w obozie na gruźlicę, nie mogłam się tam dostać. Gospodyni, u której mieszkaliśmy, pożyczyła nam tzw. czugunok, taki dość spory garnek, który się wpuszczalo w głąb fajerek. Nalewałyśmy wody, wrzucało się kilka kartofli pokrojonych drobno, garstkę wermiszelu, trochę oleju i to zjadało się z wielkim apetytem. I wtedy zaczęłyśmy się poprawiać, bo już nie miałyśmy tych przeżyć obozowych. Jadłyśmy również koninę, ale rzadko, bo na to nas nie było stać. W tym czasie coraz więcej rodaków wychodziło z obozów. Między innymi wyszedł na wolność z obozu ksiądz Piątkowski Wacław, którego znałam jeszcze sprzed aresztowania, gdyż był kapłanem z Brześcia. Na czym polegała działalność duszpasterska księży, którzy wychodzili z obozów. Najwybitniejszą wśród nich jednostką był ksiądz Władysław Bukowiński. Po wyjściu z obozu po prostu przyjął obywatelstwo radzieckie, by zostać tam, w Kazachstanie, gdzie nie było kapłanów. A było bardzo dużo Polaków wywiezionych w 20 roku spod polskiej granicy, byli tam również Niemcy z Powoźża, Niemcy rosyjscy. Było też dużo Litwinów. Na bożeństwa i udzielanie sakramentów odbywało się pokryjomu, w prywatnych mieszkaniach. Były to Chrzty, pierwsze komunie i śluby. Uczestniczyłam w tych wszystkich uroczystościach. Były przypadki, że msze były śpiewane. Śpiewałyśmy np. mszę gregoriańską, w tym pomagały mi Niemki i Litwinki. W jaki sposób się one odbywały: Msza św. była odprawiana po łacinie, kazanie, jeśli towarzystwo było mieszane, było w języku rosyjskim, który wszyscy rozumieli. Pieśni śpiewane były - jedna po polsku, druga po niemiecku, w zależności od ilości osób różnych narodowości. Zresztą byłam nie tylko chórzystką w tym okresie, ale i ministrantem. Ksiądz Piątkowski nauczył mnie tego, dał brewiarz, łacinę znałam jeszcze sprzed aresztu i jakoś żeśmy sobie radzili.

W miesiącu grudniu 1955 roku zaczęła się repatriacja do kraju i odszedł z dworca cały pociąg Polaków. Na peronie zostałam sama. Był to bardzo ciężki moment w moim życiu. Mogę go porównać z momentem aresztu. Zesłanie moje było bezterminowe, okres zesłania był raczej

dożywotni, mogłam się poruszać tylko w obrębie miasta Karagandy. Musiałam się co miesiąc meldować na milicji, że jestem. Czyli posiadałam tylko tzw. wilczy bilet. W tym czasie, żeby się wydostać stamtąd do kraju, trzeba było udowodnić swoją polskość i obywatelstwo polskie jakimś dokumentem. Czy metryką, czy świadectwem polskim. Niestety, te dokumenty były zabrane w czasie aresztowania. I nic nie miałam z tych rzeczy. Ale miałam w Polsce siostrę swoją, Helenę Rozporską, która starała się o przyjazd do kraju rodziców i o mój powrót z zesłania. Mam na to również dokumenty, które pokazywałam. W tym czasie Polacy z Karagandy zaprosili nas z księdzem Bukowińskim na wigilię. Po prostu przekazywali nas z domu do domu, karmili nas, poili i wypuścili dopiero na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Po raz pierwszy najedliśmy się do syta. Byli bardzo serdeczni, nazywali nas Polakami z Polski. W tym czasie Niemcom udało się wykupić barak i w tym baraku urządzili kaplicę, w której już oficjalnie odprawiały się Msze święte w których również brałam udział. Ksiądz Piątkowski był tam swego rodzaju proboszczem ze względu na to że znał parę języków, między innymi j. niemiecki, nie mówiąc o rosyjskim i ukraińskim. Znał jeszcze francuski. Był bardzo potrzebny tym ludziom. Przysłano mu już wtedy, pamiętam, do Karagandy sutannę, którą się pochwalił w naszym baraku, gdzie gromadzili się wychodzący zesłańcy. Już przysłali niektóre szaty liturgiczne i nawet był już mszał. W tym też czasie dostał on zezwolenie jako inwalida pierwszej grupy na powrót na Białoruś, z czego, ma się rozumieć, skorzystał. I wtedy zaproponował mi odwiedzenie Brześcia i moich rodziców. Było to dla mnie nierealne, bo nie miałam żadnych funduszy. A podróż była bardzo daleka i kosztowna. Wtedy powiedział mi, że pokrywa koszty mojej podróży tam i z powrotem, Ale teraz był problem: nie miałam żadnych dokumentów i nie miałam prawa opuszczać miasta. Wtedy poradzili mi rodacy, bym się urządziła w ten sposób: następnego dnia poszła do milicji i zameldowała, że jestem. Tak zrobiłam i miałam już do dyspozycji cały miesiąc, w czasie którego

nie musiałam już się meldować. I w tym dniu wyjechaliśmy pociągiem. Ze względu na to, że ksiądz był inwalidą i nie miał po prostu siły, przydałam się jako swego rodzaju tragarz. Byłam przecież jeszcze wtedy młoda - miałam 26 lat. Kontroli nie było, jechali podróżni różnych narodowości, w przedziale odprawiał ksiądz Mszę św. Podróżni byli na tyle delikatni, że na ten czas wychodzili po prostu z przedziału. Po zakończeniu przychodzili. Ksiądz Piątkowski pięknie śpiewał, w czasie studiów w Rzymie śpiewał w chórze sykstyńskim, więc w wagonie urządzaliśmy koncerty. Zaczynało się od nabożeństwa majowego, a kończyło na piosenkach partyzanckich. Miałam przygodę, która mogła się dla mnie skończyć tragicznie. Jak dojechaliśmy do Czelabińska - to już jest ostatnie miasto przed przekroczeniem gór Uralu - po prostu zachciało mu się mleka. Więc wzięłam dwa kubeczki i wyszłam na peron, gdzie był taki sklepik niewielki i było mleko. Przelewając to mleko z butelek do tych kubeczków, usłyszałam jak gwizdnął pociąg i ruszył. W przypadkach takich krytycznych (działam) bez zastanowienia : chwyciłam te kubeczki i zaczęłam biec za pociągiem. Prowadnica w ostatnim wagonie zorientowała się, że ja zostałam, otworzyła drzwi i ja dosłownie ostatkiem sił dobiegłam i skoczyłam do tego ostatniego wagonu. I wtedy dopiero się przestraszyłam. Otrzeźwiełam na tyle, że się przestraszyłam tego wszystkiego, co się stało. Zdałam sobie sprawę z tego, że przecież byłam bez żadnych dokumentów, bez pieniędzy i bez ubrania. Następny przystanek dla tego pociągu był już po drugiej stronie Uralu. A pociągi wtedy kursowały raz na dobę, takie jak ten pasażerski. Wyobrażałam sobie oprócz tego, co przeżywa ksiądz Piątkowski. Postanowiłam przejść przez cały ten pociąg do naszego wagonu, przeszłam i zobaczyłam, że on już był spakowany i miał zamiar na następnym przystanku wysiadać. Ucieszył się bardzo z mojego powrotu, wypiliśmy to mleko (przyniosłam je, to było przyzwyczajenie jeszcze obozowe, że tego co się miało w rękę, tego się nie wypuszczają), bo były przypadki, że niosąc kolację dla tych moich babć-inwalidek do baraku, upadłam, ale kubeczków nie wypuściłam i jedzenie

tego nie straciłam), Tak że i w tym przypadku biegłam, ale kubeczków nie upuściłam. Po wypiciu tego mleka ksiądz Piątkowski mówi: Marysiu, czy ty wiesz, co piłaś? - No wiadomo, że piłam mleko. - Ale wiesz, że to mleko to kumys? Że to mleko kobyłe? Ja mówię: - Nie wiedziałam, że to kumys, ale to nie jest dla mnie aż takie zaskoczenie, żebym miała dostać torsji i zwrócić taką dobrą rzecz. Jadałam już mięso końskie, to i mleko nie było złe. W Kazachstanie uważali, że ono jest bardzo dobre. Zaczęliśmy obserwować trasę przejazdu przez Ural. Przecież poprzednio przejeżdżałam tę trasę w wagonie więziennym i nie mogłam obserwować. Wyglądało to bardzo ładnie. Byliśmy na przodzie pociągu, tak że jak były jakieś zakręty, było widać cały ten pociąg jak się wiał serpentyną, różnymi zakrętami między tymi górami, a góry uralskie ładnie wyglądają. To są góry stare, mają dużo zieleni, są urozmaicone. Dojechaliśmy do Moskwy, co trwało 5 dni bez przerwy. W Moskwie musieliśmy się przesiąść na dworcu Białoruskim, żeby dalej kontynuować podróż. I właśnie w Moskwie zaproponował mi ksiądz Piątkowski nadanie depeszy do domu. Nie nadałam tej depeszy, bo sobie zdałam sprawę, że jeżeli się zorientują, że ja wracam, szczególnie władze, to wątpliwy jest mój pobyt w Brześciu. Ksiądz Piątkowski wysiadł w nocy w Baranowiczach, gdzie spotkali go nowi parafianie, wśród których miał pracować i i pracuje do chwili obecnej, teraz ma ponad 80 lat, jest po ciężkiej operacji, ma tylko jedną ściartkę żołądka, bardzo już jest wyniszczony i jest... nie pamiętam miejscowości... Bo ksiądz Rosiak był przez cały czas w Połoneczce... A ks. Piątkowski w Niedźwiedzicach. To są te nasze dawne tereny właśnie). Pojechałam do Brześcia dalej sama. Dojechałam o świcie. Nie widziałam swojego rodzinnego miasta przez 8 lat i przyszłam do domu, nie korzystając z żadnych środków lokomocji, bo chciałam po prostu przy okazji przejść tymi ulicami. Pamiętałam jeszcze jak można otworzyć z haka drzwi - jeszcze te sposoby były nadal aktualne - weszłam na to nasze poddasze i stanęłam w pokoju nad moją średnią siostrą. Momentalnie się obudziła i pierwsze jej słowa były: Oh! Jaka ty jesteś gru-

ba! A moje słowa z kolei :Jaka ty jesteś chuda! Bo już jednak poprawiłam się, mimo że to nie było jedzenie kaloryczne, to już nie był obóz. No i miałam 26 lat, a ona mnie nie widziała przez 3 lat. Wielka jej zasługa była w tym, że ona przez cały czas pomagała mi, przysyłając paczki do obozu. Ale represji przeszła masę. Na czym one polegały: fakt, że ja byłam w obozie był bardzo obciążający dla rodziny. Następnie, w rok po mnie był aresztowany mój tatuś. Więc to już był drugi minus. Ona nigdzie nie mogła dostać pracy. W kolejnym miejscu pracy, gdzie miała szansę się dostać, powiedziała wreszcie, że tatuś nie żyje. I dopiero wtedy ją zatrudnili. Z kolei moja mama prała ludziom bieliznę i nocami obierała ziemniaki w stołówkach za te obierzyny. Zabierała je, starały się wykarmić prosiaka, w ten sposób tylko mogły wysłać mnie i mojemu tacie paczki do obozów. Dzięki temu przeżyłam i wróciłam. Więc była to szalona radość w domu. Z tym że rodzice nie zdawali sobie sprawy z tego, że ja nie mam prawa pobytu tutaj, że przyjechałam nielegalnie, po prostu nie mówiłam im o tym. To był maj 1956 roku. Zaczynali już wracać koledzy z obozów i z zesłania. Wrócili nasi księża. Radość nas rozpierała po prostu. Nie myślałam o tym, co mi tu grozi. Po upływie chyba tygodnia wzywają mnie, bo jest telefon z Karagandy. I dowiaduję się, że przyszły papiery na mój wyjazd do kraju. Wtedy zaczęłam się zastanawiać i doszłam do wniosku, że przecież nie ma sensu wracać do Karagandy po te dokumenty. Irzecież łatwiej im jest przysłać te dokumenty tutaj, do Brześcia. Ale łudziłam się bardzo. Postanowiłam zgłosić się na milicję i po prostu poprosić, żeby tak zrobili. Efekt był taki, że można to porównać do efektu wylądowania tego niemieckiego młodego pilota na Placu Czerwonym w Moskwie. To był po prostu dla nich szok. Sama myśl o tym, że człowiek z wygnania przejechał bez dokumentów przez Związek radziecki! Przecież to było 5 tys. kilometrów! Przejechał przez nikogo nie wykryty i nie zauważony! Przez cały dzień ciągnano mnie po wszystkich oddziałach milicji i MGB i wreszcie po-

wiedziano mi, że muszę wracać do Karagandy, że w żadnym wypadku dokumenty nie zostaną przysłane tutaj. No więc musiałam to zrobić, innego wyjścia nie było. I znów 6 dni podróży. Żadnego papierka mi nie dali, bo nie musieli. Ja wracałam na to swoje zesłanie. Pieniądze miałam od tego księdza. Przejechałam znów te 5 tys. km. w przeciągu 6 dni jazdy bez przerwy, dostałam tam te dokumenty, dostałam bilet do granicy i pożegnano mnie słowami: Nie pominajcie nas lichom! - czyli "nie wspominajcie nas źle" w tłumaczeniu na polski. Cóż można było na to odpowiedzieć? Przecież miałam zmarnowane najpiękniejsze lata. Od 18 do 26 roku życia. A poza tym miałam zmarnowane zdrowie. I znów przejeżdżam trasę tych 5 tys. km. i po drodze znów przejeżdżam przez Brześć.

- Wróc jeszcze może do momentu śmierci Stalina. Jakie to wywołało wrażenie?

- Dobrze. Muszę się cofnąć do pobytu w Abizie. To było jeszcze w Abizie w 1953 roku. W tym czasie znajdowałam się w szpitalu. Spacerowałam w tym dniu wzdłuż naszego baraku szpitalnego. Spotkała mnie dozorczyńni, Rosjanka, która była strasznie "obozowa", przepraszam, strasznie oburzona moim wyrazem twarzy. Moją radosną twarzą. I to był powód, że się uczepliła do mnie: jak ja mogę uśmiechać się, a nie płakać, czy ja wiem, że umarł Stalin? I dosłownie, gdyby nie ten fakt, że byłam chora i na ewidencji szpitalnej, to by była mnie posadziła do karceru obozowego. Skutki śmierci Stalina były dla nas bardzo dobre. Zelżał reżim obozowy. Zdjęto nam z baraków kraty, po pewnym czasie. Potem nastąpiło to, zmniejszanie wyroków.

- Nieco później czy też w tym samym roku wybuchły w łagrach bunty

- Owszem, były bunty, były takie bunty szczególnie tam, gdzie były te kopalnie. Ale bunty te wybuchały w obozach męskich. Między innymi w czasie takiego buntu na czterdziestej kopalni na Workucie zginął mój kolega, Witek Ignatowicz, który pochodził z Kobrynia. Jak również były przypadki ucieczek. Drugi mój kolega, Jarek Odyński, uciekł

z obozu z jeszcze jednym Polakiem, Jurkiem Presnerem. Nie mogę powiedzieć dokładnie, w którym to było roku, w każdym razie fakt był faktem, że oni we dwóch uciekli. Zostali złapani, dlatego że nie było właściwie żadnych szans. Każdy człowiek zadenuncjowałby uciekającego więźnia. Chłopcy zostali schwytni, zabici i ciała ich zostały przywleczone dosłownie do obozu. Po złapaniu ich zabito, trupy położono przed obozem i one tam, według opowiadań mojej koleżanki, a siostry Jarka, leżały przez kilka dni, jako argument odstraszenia od prób ucieczki.

Wracając więc, wstąpiłam do Brześcia, by jeszcze raz zobaczyć się z rodzicami. Zresztą miałam w rezerwie pewną ilość dni do przekroczenia granicy. I wtedy zapytałam rodziców, czy złożyli papiery na wyjazd. Tatusz mi odpowiedział, że nie, bo przecież Polska jest też tam, i jeżeli się opuści te tereny, to ktoś będzie świadczył o polskości tej ziemi? Ale ja już miałam tego wszystkiego powyżej uszu, tych straconych lat, tych cierpień i przeżyć i wtedy powiedziałam rodzicom, że jeżeli przy mnie nie złożą dokumentów, to ja po prostu nie przekraczam granicy i wracam na zesłanie do Kazachstanu. To poskutkowało i przy mnie rodzice złożyli te papiery w milicji. Tymczasem w kraju (to był rok 56) doszedł do władzy Gomułka. Moja mama była się że po przekroczeniu granicy zostanie aresztowana z kolei przez Polaków. Ale ja uspokoiłam jej obawy, mówiąc, że Polska obszarem jest tak mała, że gdyby nawet mnie aresztowano i posadzono w polskim więzieniu, to przecież zawsze może mnie odwiedzić - to są już minimalne odległości w porównaniu z moimi podróżami po Zw. Radzieckim. W ostatnim dniu ważności dokumentów przekroczyłam granicę. Efekt był nieoczekiwany. Po przejechaniu mostu na Bugu i wjechaniu na terytorium polskie inne było powietrze, inna była zielen - dosłownie po wyjściu z wagonów całowaliśmy tę ziemię. Tę naszą ojczyznę, polską ziemię. Ja wracałam indywidualnie, ale byli ludzie wracający z zesłania i z obozów. Wysadzono nas na dworcu w Terespolu, nikt absolutnie nie spr

sprawdzał naszych bagaży. Ja miałam drewnianą walizeczkę obozową i worek z szelkami na plecach, w którym był cały mój majątek. P^odstawili miejski pociąg i powieziono nas do Białej Podlaskiej, gdzie czekała na mnie moja siostra. Nie widziała mnie ona 8 lat. I niestety nie poznała mnie. Ale ja ją poznałam. Zabrała mnie od razu do siebie do domu, tak że nawet nie byłam na tym przesylnym punkcie w Grabanowie, to był punkt repatriacyjny, przedmieście Białej Podlaskiej dosłownie. Mąż siostry załatwił moje dokumenty, zabrał to, co miałam, ten rosyjski dokument i na podstawie tego wydano mi kartę repatriacyjną polską. Na tej karcie mam odnotowane zapomogi, które otrzymałam. Zapomoga 1000zł jako repatriant i drugie 1000zł jako więźni^e obozów. Pokwitowałam również na tej karcie w sklepie, gdzie mnie zaprowadzono otrzymanie płaszcza, sukienki i pantofli. ~~Nawet~~ Nawet po pewnym czasie przyjeżdżała do mnie komisja z Warszawy, żeby sprawdzić, czy istotnie dostałam te rzeczy. Widocznie obawiali się nadużyć.

I teraz zaczęły się poszukiwania pracy. Miałam tylko 10 palców i żadnego majątku, ani ruchomego, ani nieruchomego. Więc zaczęło się chodzenie po różnych biurach. Ale nigdzie nie mogłam dostać pracy, bo każdy mnie pytał, gdzie pracowałam i co potrafię. Przecież nie mogłam powiedzieć, że byłam w obozie przez tyle lat. A jeszcze w obozie w Związku Radzieckim...Przecież to się liczyło, że jestem wrogiem. O mało że nie wrogiem Polski Ludowej, bo przecież to był nasz obóz socjalistyczny. Oprócz tego nie mogłam im powiedzieć, że mam wyższe studia z łopatologii radzieckiej, że posługuję się łopata^m wspaniale. Niektórzy nawet przypuszczali, że ja nie wszystko rozumiem, co do mnie polsku mówią. Ale trafiłam na przeuroczego i przedobrego człowieka w swoim życiu. Pewnego dnia, już po miesiącu poszukiwań tej pracy siostra spotkała Pana Franciszka Lubeckiego, z którym kiedyś pracowała, jak był burmistrzem w Białej Podlaskiej. I powiedziała mu, że my szukamy pracy, że ja wróciłam z obozu. Ten starszy pan spojrzał na mnie i bez słowa zbędnego powiedział: Przyjdź do mnie

jutro moje dziecko. I temu człowiekowi zawdzięczam bardzo wiele. Stworzył dla mnie etat w Prezydium PRN w gospodarce komunalnej, pierwsze moje pobory wynosiły 700zł. i on mnie właściwie nauczył pracy biurowej. Jednocześnie od razu poszłam na kurs księgowości 1 stopnia, której ukończyłam z wynikiem bardzo dobrym w przeciągu pół roku. I od razu po uruchomieniu tzw. wieczorówek dla pracujących, cofnęłam się o trzy lata i skończyłam średnią szkołę wieczorową, również z nagrodą. Do radzieckiej matury brakowało mi przed aresztem tylko rok, ale przecież miałam 8 lat przerwy. Nie miałam żadnej styczności z żadnymi wykładami. I całe życie przeszło mi w uczciwej pracy, nie miałam nigdy żadnej pomocy, jakichś zapomóg. Przepracowałam bez przerwy ponad 25 lat, ale niestety, zdrowie miałam zrujnowane i w 1982 roku skorzystałam z możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę z grupą inwalidzką. I w chwili obecnej jestem już 8 lat emerytka.